

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. dr. Witolda Bełzy w Bydgoszczy

**NA CHWAŁĘ SŁOŃCA
II OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI
IM. WANDY DOBACZEWSKIEJ
NAGRODZONE I WYRÓŻNIONE PRACE**

BYDGOSZCZ 2022

Werdykt Jury z dnia 6 maja 2022 r.:

II Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Wandy Dobaczewskiej trwał od 23.11.2021 r. do 31.03.2022 r. Jako konkurs otwarty był zorganizowany w dwóch kategoriach rodzajowych: poezja i proza oraz dwóch kategoriach wiekowych: „A” dorośli i „B” młodzież (w wieku 12-18 lat). Wpłynęło ponad 400 prac., z czego zakwalifikowano: 393 w kategorii „A” 118 prac prozatorskich i 165 zestawów poetyckich (razem 284), w kategorii „B” – 45 prac prozatorskich i 64 zestawów poetyckich (razem 109).

Jury konkursu w składzie: Helena Dobaczewska-Skonieczka, Małgorzata Grajewska, Tadeusz Oszubski, Alina Rzepecka wybrało 10 prac (z każdej kategorii), spośród których wyłonieni zostali laureaci.

LAUREATAMI TEGOROCZNEJ EDYCJI KONKURSU ZOSTALI:

Kat. A:

PROZA

I miejsce: Amor

II miejsce: Bluszcz

III miejsce: Pióropusz

POEZJA

I miejsce: Cyjan

II miejsce: Antony Dalton

III miejsce: Skalnik

Kat. B:

PROZA

I miejsce: Atelis

II miejsce: Poeta

III miejsce: Siula

POEZJA

I miejsce: Fermi

II miejsce: Eden

III miejsce: Quel_que

Osoby, których prace poza konkursem wyróżnione zostały ze względu na nawiązanie do twórczości Wandy Niedziałkowskiej-Dobaczewskiej:

W dziedzinie poezji: Anturium, Artur Kwiecien, R. WAR, Zima, Chaber.

W dziedzinie prozy: Pomarańcze, Krzyżyk123, Tulipan, Hania, Konwalia.

Protokół przygotowała: *Helena Skonieczka*

Kategoria wiekowa „A” – POEZJA

I miejsce: Urszula Sikora – godło: Cyjan

Pszczelarz

Pszczelarz, jak co rok w marcu, maluje ule.
Błękitna farba kapie na ziemię. Jego żona lubiła ten kolor.
Trawa jeszcze nie wyrosła, ale już niedługo.
Grzebie butem w ziemi, widać kielki.

Tak naprawdę, pszczelarz nienawidzi swoich pszczół.
Ich odgłosów. Wyglądu. Czyszczenia uli. Nawet miodu nie lubi.
Kleista, słodka maź, która sprawia, że rośnie brzuch i psują się zęby.
Tylko w zeszłym roku został użądłony siedemnaście razy.

Pszczelarz wstaje rano, pije mleko i je dwie kromki chleba z serem.
Patrzy, czy kwitną już leszczyny. W tym roku marzec jest chłodny.
Martwe pszczoły blokują wylotki. Pszczelarz płacze, kiedy je znajduje.
Wieczorem opowiada żonie, że umierają ich dzieci.

Dziecko-chleb

Ze złamanego zebra prószy śnieg.
Kobieta łapie go w dłonie i chowa do worka,
będzie mąka na gorsze czasy, na mróz.
Gdy zatęskni, upiecze chleb w kształcie dziecka.

Dziecko będzie myło uszy i zęby.
Nigdy nie będzie chorować, każdemu
powie dzień dobry, skłoni się.
Będą mówić o nim: *wykapana mama*.

Kiedy dziecko będzie dorastać,
spróbuje uwolnić się ze swojej formy.
Sztucznie wyciosany kształt będzie je uwierać,
w oczy zaczął wpadać okruszki. Pojawi się pleśń.

Ludzie powiedzą: buntuje się. Albo: niegrzeczne.
Zaczną spojrzeniem odrywać z niego kawałki,
gdy skończą, zostanie sama przeżuta skórka.
Powiedzą: *ze słabej mąki było. Zepsutej*.

Szczenię

Szczenię przyszło do mnie w nocy.
Polizało po nosie. Powiedziało:
smakujesz świeżym chlebem i solą.
Nie płacz, bo nie mogę spać.

Nad ranem znalazłam sierść na poduszce,
wgniecenie łap. Szczenię zniknęło.
Przez otwarte drzwi wiał ciepły wiatr.
Pajęczne nici zaczepiły się o żyrandol.

Wołałam i płakałam za nim.
Kusiłam kielbasą, rzucałam patyki.
Gryzłam się w dłonie i wrywałam włosy,
czekałam na schodach przez rok.

Wiosną na łące rozbrzmiało wycie,
więc biegłam. Na kamieniach zgubiłam but.
Wilk leżał w bylicy. Podniósł łeb. Zapytał:
W jak wysokich trawach mieszka twój cień?

II miejsce: Remigiusz Czyżewski – godło: Antony Dalton

Mała Ojczyzna

mała sypialnia pokój na poddaszu
łazienka też mała
człowiek który mówi
nienawidzę tego kraju
zapadam się
poddasze okno nad ranem
człowiek który mówi
kurwa
wychodzi do pracy
grzęźnie w tym wraca
mała sypialnia Polska
wolność tylko we własnej głowie
człowiek który nigdy nie pójdzie z tłumem
bo nade wszystko
nienawidzi tłumów

Przed końcem zimy

śnieg pokrył wszystko martwa cisza
dzień przed zwolnieniem prezesa MPK rozmawiam
w kuchni z kolegą mówię mu
że minister zdrowia jest Żydem
jak oni wszyscy- odpowiada
palimy papierosy
każdy Polak pali papierosy mówiąc o polityce
cisza przewierca nam myśli
śnieg wszędzie jak pisał Świetlicki
jesteśmy żywi wśród martwej przyrody dzisiaj
zdałem sobie sprawę że ciągle mam w głowie
kilka ostatnich wieczorów
córka nie odbiera moich telefonów
też nie odbieram od obcych
zwykły martwy wieczór w mieście pokrytym śniegiem
jeden dzień przed zwolnieniem prezesa MPK
dwa dni przed weekendem
miesiąc przed końcem zimy
wciąż nie wiem kiedy koniec świata

W mieście

w tym mieście nie ma zbyt wielu miejsc
o których mógłbym powiedzieć coś miłego
są niebieskie łuny karetok pogotowia wieczorem
wściekłe psy spóźnione autobusy
są umarłe arterie niewykorzystanych okazji
na lepsze życie u boku
nie ma za dużo miejsc w tym mieście
o których chciałbym powiedzieć cokolwiek
są kłódki na moście dawno nieaktualne
czerwona plama słońca przypadkowi przechodnie
dźwięki które wyodrębniam z przestrzeni
dzieląc je na czynniki pierwsze jak śpiewy
mój czas w tym mieście jeszcze nie dobiegł końca

III miejsce: Agnieszka Mędrzak – Sikora – godło:Skalnik

*„My nie wiemy, czy świat nam się kiedyś objaśni
Jednym ciepłym i złotym słonecznym promieniem.
My badamy przeznaczeń niezmiennie zagadki,
Aby wiedzieć, co było i będzie na końcu.”*

(Wanda Dobaczewska „Bogowie”)

Przepowiednia

Kobieta, którą masz na myśli, lubi budzić się przed świtem i podglądać ptaki. Sieweczka rzeczna zachwyca od pierwszego wejrzenia – ten biały szal i plamka w okolicach dzioba rozświetlają świeże godziny dnia. Czarne oko w złotych okularach patrzy przenikliwie. Zupełnie nie wiem, czego się spodziewać po takim początku. Kobieta, z którą wstałeś o brzasku, docenia twoje milczące skupienie na ciszy. Słyszysz? Ta pora jednak puchnie od dźwięków. Rozszerzasz zdziwieniem oczy, gdy dopadają nas trele świergotka. Brzask wibruje, a razem z nim moja dłoń w twojej. Nadrzeczne zakątki wróżą nam pogodny dzień. Mnogość dni.

*„Tęsknota wola lotne ptaki w dal!”
(Wanda Dobaczewska „Mewa”)*

Doskwieranie

Najtrudniej pogodzić się z myślą o umierających ptakach.
Przyciąga ich iluzja czereśni – bo odbija się w szybie,
więc lecą co sił w skrzydłach i kończą życie
głuchym uderzeniem o przezroczystą taflę.
Ten dźwięk boli tak, że zaczyna mrowić skóra i puls przyspiesza
pomimo zażytego metoprololu. Cierpnę i cierpię.
Później jest bieg do ogrodu, nadzieja, że może jednak przeżyły.
Biorę je w dłonie – nieciężkie ciała pokryte delikatnością,
przykładam wargi do piersi. Serca nie tłuką się jak moje –
zastygły w momencie. Są jedynie zakrzeple martwym zdziwieniem oczy,
stygające ciepło pod piórami.
Pozostaje mi bezradna czułość.
Modlitwa za martwe ptaki, którą mogę napisać sama.

*„Wysłuchaj baśni. Na szerokiej ziemi
Więcej jest cudów niż ich myśl ogarnie.”
(Wanda Dobaczewska „Nie zrywaj kwiatów...”)*

Pozdrowienia z P.

Polska boli mnie od dawna.

Znieczulam się. Nie, nie za pomocą
wódki – rodzimej i czystej tak bardzo,
jak nigdy nasze sumienia.

Najlepszą narkozą okazują się bieszczadzkie połoniny
i zmarszczone tafle mazurskich wód.

Biorę głęboki wdech – we krwi słony posmak bryzy
wprost znad Bałtyku. To wszystko daje nadzieję na przebudzenie.
Kiedy oczy mimowolnie poruszają się pod powiekami, wiem,
że szukam ratunku w Beskidach – przytulam do omszałych cerkwi
w Niskim i wyrównuję tętno wspinaczką na Babią Górę.
Tak czuję pewność, że choć wszystko płynie, dotrę do brzegu.
Nie zapomnę, skąd jestem.

Wyróżnienie: Ewa Frączek – godło: Córka takiego ojca

ścieżka dostępu

stacja pierwsza, skazany
na google, każda inność kończy się
tak samo i nie wiesz: naciskać
czy przesuwac
opuszkami palców

Stacja druga, bierze na ramiona
wszystko, piksel po pikselu, inaczej
dostatecznie już śmieszny w tych całych
sandałach, wywalony z pracy
spotkasz matkę i nie będziesz jej umiał
wyjaśnić, że szymon z działu kadr
robił co mógł, ale ty po prostu nie
rozumiesz systemu, nie rozumiesz
po co weronika poprawiła twój
wizerunek photoshopem, z czego
i tak nic nie wyszło.

w ten sposób upadła kolejna posada.
niewiasty płakały.
szaty zrucasz w socjalach
gdzie dobijają cię, przybijają ostrzem
żółtego heheszka
trzydzieści trzy lata, oto starość.
oto zupełnie inna, powiedzieć można
domena.

jak na przemówieniu Joe okazało się że rację miał sześcioreki budda

reinkarnacja istnieje *for god`s sake*
nie lękaj się zatem żuczku
maszerujący dzielnie pod mount everest
podlaskiego wzgórza, z kupą pysznego gówna
pod łapkami.

jeszcze niedawno byłeś małą dziewczynką
z puszczy, pożartą przez ziemię niczyją
dziś wiwatują na twoją cześć włodarze
ziemi – tej ziemi
zebrani na zamku królewskim
gdzie nieopodal stoi pewien szwed
w objęciach papieża importowanego z usa.

wokół szumi potop pięknych słów, płynie
wisłą szeroką arka żółto-niebieskiego przymierzana
na dziobie noe moczy palce u stóp i ogłasza
nowy świat: epitetami
wykrzyknikami, analogiami.
słowa i słowa.
i słowa.
których w nowym wcieleniu
na szczęście nie do końca rozumiesz.

rabi watson nie umie zabić karpia

*gdy po wielkim wybuchu morskie zwierzęta wyszły
na ląd, wojna trzydziestoletnia trwała już tak długo
że nikt już nie pamiętał, kto właściwie strzelił
do franciszka ferdynanda –*

powiedział rabi watson, z domu cycero
gdy spytałam jak to właściwie jest
że jedni zabijają inni nie zabijają
tej ryby z bezradnymi oskrzelami.

z tradycją nakreślona
piasku.

Wyróżnienie: Artur Piotr Kmieciak – godło: ArdBird

4 X 90

4 letnia dziewczynka
odziana w 90 letnią skórę
powoli zjada obiad
w Hotelu Weneda
ziemniaki miazdży widelcem
groszek nożem odsuwa
udko kurczaka rozdrabnia
metodycznie
protezy nie żują już kawałków.
Skończyła
prosi o herbatę
Do kelnerki chwali:
Tak dużo i niedrogo
Zawsze tu jem – mówi na całą salę
Młoda kelnerka uśmiecha się
dba o nią jak o własną córkę.

CZY poezja to natchNIENIE?

Czy poezja to natchnie-nie?

2 razy – nie!

To dar obserwacji

i wyciągania wniosków

Po poezję trzeba ruszyć z Domu

Opuścić Siebie

stanąć przy taśmie

umieć robić sandwiche:

wprawnym ruchem

nałożyć ser, pomidory

rozciągnąć szynkę parmeńską,

palcami odważyć 40 gram kurczaka

lub jeszcze lepiej- znam dzielniejszy sposób

by Muzie w oczy popatrzeć:

nadgarstki obwiązać, palce rozczapierzyć

w irlandzkich śmieciach zamieszać

plastik od szkła, szkło od papieru

sprawnie oddzielać

jak ja przed zaśnięciem przebieram wiersze

Trzeba też umieć się uchylić

kiedy Rumuni z sąsiedniej linii

rzucą w ciebie zdechłym kotem lub

karkasem baranka

Z okna swojego Domu

poezji nie zobaczysz.

Kategoria wiekowa „B” – POEZJA

I miejsce: Maria Zasadowska – godło: Fermi

Za szybko

Próbowałam być waszym słoneczkiem.
Założyłam żółtą kurtkę,
Jasne spodnie
I sandały.
Uśmiechałam się do was
Najszerzej, jak potrafiłam.
Chciałam wam przekazać ten optymizm
Tę radość i miłość,
Oraz sprawić, że wasz dzień będzie lepszy.

Nie wyszło.
Przytłoczyła mnie czerń waszych ubrań
I ciężkie buty zimowe.
Przygniotły mnie wasze smutne miny,
Dziwne spojrzenia w moją stronę
I wasze szepty
Odbijające się nieprzyjemnie w mojej głowie.

Żałuję,
Że nie potrafiłam wywołać uśmiechów na waszych twarzach
I sprawić, że dzień będzie miłszy.
Żałuję,
Że tak szybko się poddałam
I sama przestałam
Być radosna.

Promienny uśmiech

Te same szare budynki w centrum miasta,
Ci sami nudni ludzie,
Patrzący na ciemne chmury
Zasłaniające nasze niebo.
Te same szare ściany w moim pokoju,
Czarne ramki na zdjęcia,
Dywan bez koloru
I ta sama osoba siedząca na moim łóżku.
Ona nie jest nijaka.
Nie jest szara, bura,
Wyprana.
Tylko taka ciepła.
Błyszczą, gdy się uśmiecha.
Jej oczy iskrzą, gdy opowiada.
I wszystko nagle nabiera koloru.
I staje się lepsze!
I miłsze!
I żywsze!
Ona tak pięknie lśni,
Mówiąc kolejny raz
O tej samej książce,
Ulubionym filmie,
Dziwnym śnie sprzed dwóch nocy
I pewnej prostej, szarej osobie
Którą uratował jej promienny uśmiech.

II miejsce: Weronika Zarębska – godło: Eden

[lubię kiedy bas uderza mnie po uszach]

lubię kiedy bas uderza mnie po uszach
łatwiej wtedy zrozumieć
to rozdrapane jak strup miasto
i wszystko jest na swoim miejscu
tramwaj sunie i sunie i stuka i stuka a ja
sunę i sunę i słucham i czuję

ta melodia brzmi jak niedopowiedziany sen
ta pachnie jak płachta nieba przed jutrzemką
ta smakuje jak chłodne powietrze we włosach
ta wygląda jak moje myśli gdy
sunę i sunę i słucham i czuję

drogi czytelniku
nie szukaj tu rzeczy której nie ma
czasem wiersz ma tylko jedno dno
a czasem wcale
i ten brak jest piękny
a ja mogę
sunąć i sunąć i słuchać i czuć

drogi czytelniku
czasem brak jest najpełniejszy
suń i suń i słuchaj i czuj

wszechczerń

wszechwieczna
wszechogarniająca
wszechdenna
wszechczerń

wskaźnik tlenu jeszcze wysoki
zaciągam się
tlen uderza do mózgu
tak jest dobrze

dobrze dobrze dobrze

tam daleko ziemia tak odległa
nie widzę ludzi oni nie widzą mnie
tak jest dobrze?

dobrze dobrze dobrze

pływam we wszechczerni
w niej ale poza nią
mam bielutki skafander
i wysoki wskaźnik tlenu
tak jest dobrze

dobrze?!

to co było pełne jest puste
nie ma tlenu
krtuszę się
a wszechczerń dyszy mi na kark

i krzyknęłabym o pomoc

ale w próżni nie rozchodzi się
dźwięk

nim ktokolwiek zauważyłpołknęła
ją
jej mała wszechwieczna
wszechogarniająca
wszechdenna
wszechczern

litania do sztuki

z brązu z brązu
pomników panteon
i ja z pomietą kartką
łzy z czarnego atramentu

eviva l'arte

wysoko wysoko
ponad nami
gdzie oko nie sięga
gdzie uczucie nie sięga

eviva l'arte

nie dla nas nie dla nas
i my nie dla nich
nie nasza liga
nie nasz panteon

eviva l'arte

och gdybym mógł
i dla siebie takie
„exegi monumentum”
gdybym mógł

eviva l'arte

ale pozostała tylko
poetycka modlitwa o cud
na pomietej kartce
łzy z czarnego atramentu

eviva l'arte
eviva l'arte
eviva l'arte

bezradność

płatki miarowo spadają z nieba
nadchodzi śnieżycą zwątpienia
emocje marzną na parapetach

podobno kiedyś znów przyjdzie wiosna
teraz zostało tylko na nią poczekać
kolorować zmęczone niebo

na lodzie spokojnie tańczy inspiracja
nadchodzi lawina i znika gdzieś w zaspach
mógłbyś jej szukać, ale byłaby martwa

pośród tego stoisz ty, spokojnie
z czerwonym od zimna nosem,
otwierając nieobecne oczy

szukasz zieleni, trawy, kwiatów
szukasz kolorów, uśmiechów
szukasz miłości i ciepła

mimo że dobrze wiesz
że jak tylko je znajdziesz
ponownie zatęsknisz za zimą

cichy konflikt

powinnyśmy zbijać talerze
krzyczeć tak, by słyszeli sąsiedzi
powinnyśmy walczyć

ale z twojej strony
słyszę tylko ciszę
halo? jesteś tam?

chcę żebyś wyjęła mi z pleców
nóż, który tam wbiłaś
ale nawet się nie odzywasz

*nie można naprawić człowieka,
jeśli on sam tego nie chce*
mówię, odpowiada cisza.

powinnyśmy zbijać talerze
krzyczeć tak, by słyszeli sąsiedzi
a to ta cisza tłucze mi serce
a to ta cisza się ze mnie śmieje

powinnaś o mnie walczyć
powinnaś przeprosić
lecz tylko czekasz
aż zabraknie mi słów

a w ciszy kończy się świat.

waga

kupiłem najlepszą wagę na świecie
by mogła zważyć cały mój strach
wyplakiwałem go kropla po kropli
i patrzyłem, jak napływa do naczynia

spływały na wagę obawy i lęki
przerażenia, fobie, bóle, cierpienia

otworzyłem się przed nią
ona tylko zaśmiała się i pękła
a strach wsiąknął mi z powrotem w serce

kupiłem najlepszą wagę na świecie
bo myślałem, że uniesie mój ból
ale on jeszcze bardziej wzrósł
gdy nawet ona go nie udźwignęła

dlaczego w świecie pełnym cierpienia
na cierpienie rozwiązania nie ma?

Wyróżnienie: Antonina Siecińska – godło: Antheia

Czarna herbata

Zostawiłam herbatę
samą.
Strasznie zgorzkniała.
Było jej przykro, że została zapomniana.
Tak będzie ze mną, gdy o mnie zapomnisz.
Ale kiedy tak się stanie,
nie przypomnę Ci o sobie.
Moje gorzkie serce uraduje się.
Na ten cierpki smak
samotności.

Okulary przeciwsłoneczne

Otulona bezpieczną mgłą wyobrażeń,
Które tak chętnie tworzył mój umysł,
Zdjęłam okulary przeciwsłoneczne,
By wchłonąć w siebie
ten wspaniały blask rzeczywistości.
Ośleplam,
bo gdy zbyt długo przebywasz w ciemności,
nie jesteś już w stanie dojrzeć światła.

Byłam gwiazdami

Poznałam cię w pociągu.

Usiadłeś obok i wyciągnąłeś książkę.

To było coś Dostojewskiego.

Nie pamiętam już czy *Zbrodnia i kara*, może *Idiota*.

Zdjąłeś szal i zaczepiłeś się nim o moje słuchawki.

I wtedy nasze oczy spotkały się po raz pierwszy.

Pamiętam ten szczerzy przepraszający uśmiech
na zaróżowionych od mrozu policzkach.

Słuchałam muzyki tak głośno,

że z wyrwanej z mojego ucha słuchawki

było słycać wszystko.

Też lubię Bowiego - to były twoje pierwsze słowa
skierowane do mnie.

I tak *Starman* stało się naszą piosenką.

I chociaż muzyka była dla mnie ucieczką od rzeczywistości,
miejscem, w którym zaszywałam się niebezpiecznie często,
wyłączyłam ją.

Bo rozmowa z tobą wydawała się ciekawsza.

I od tamtej pory ty stałeś się moją ucieczką od rzeczywistości.

Rozmawialiśmy o literaturze, wielkich muzykach i malarzach,
starożytnych filozofach,

nie wiedząc, jak nazywa się nasz rozmówca.

Gdy już się ściemniło, pokazałam ci moje ulubione gwiazdozbiory.

Ale stwierdziłeś, że to tylko umowne.

Gwiazdy są zbyt potężne, by mogli opisać je zwykli ludzie.

I stwierdziłeś, że możesz stworzyć własne gwiazdozbiory,
które będą miały znaczenie tylko dla ciebie.

Nakreśliłeś na niebie znak pośród gwiazd zapisanych w Kasjopei,
Perseuszu, Pegazie

sięgając aż po Hydrę.

I wtedy zapytałeś o moje imię.

Asteria* - odpowiedziałam. Bo to ja
byłam gwiazdami.

**Asteria - grecka bogini gwiazd*

Wyróżnienie: Kacper Życzyński – godło: Żetka

Biografia

Pytają mnie, kim jestem....
Jedynym niewyśpiewanym tekstem
schowanym na szuflady dnia
bez szans na powodzenie

Pytają mnie, gdzie jestem....
Na granicy szklanego ekranu
gdzie niemożliwe z możliwym się miesza,
a magia z rzeczywistością.
Bez ciepła, bez emocji, bez życia
Jest tylko głos, a czasem obraz
za granicą zimnego szkła.

Pytają mnie, dokąd zmierzam....
Chcę dosięgnąć gwiazd, odbić się od dna,
być istotą z kości, krwi i duszy,
szukać szczęścia i miłości.
Wyjąć z szuflady teksty dawne
niech lecą w niebiosy jak ptaki.
Żyć pełnią życia
Sięgać po nieosiągalne.

Otoczenie

Dookoła mnie ludzie krzyczą
Ze złości, bezsilności, rozpacz...

Wokół mnie ludzie płaczą
Z bólu, tęsknoty, utraty...

Dokoła mnie ludzie cierpią
z miłości, bólu, choroby...

Wokół mnie ludzie się boją
odrzućcia, samotności, śmierci....

A może to śmierć jest wybawieniem
od krzyku, płaczu, cierpienia....

Obok mnie ktoś modli się
Szczęśliwy

Zbudowani buntem

Wokół słyszysz ciszę
Wokół słyszysz gniew
Wokół widzisz piekło
Wokół czujesz lęk

Ludzie kryją się przed złemi
modlą się w schronach
by przeżyć kolejny, trudny dzień.
Bo nienawiść bierze górę
A zło popycha Cię na dno.

Świat krzyczy: jeden-zero

Zbuntowani jednak robią światu wspak
Zbuntowani dostrzegają prawdy żdźbło
Zbuntowani chcą pokonać zło
Zbudowani, żeby życiu radę dać
Zbudowani, żeby dawać, a nie brać.

Zbuntowani krzyczą: jeden – jeden.

Kategoria wiekowa „A” – PROZA

I miejsce: Katarzyna Georgiev – godło: Amor

Człowiek (nie)modny

Ludwiczek był człowiekiem przepelnionym skrajnościami. Nie dlatego, iż głosił poglądy, które by sobie przeczyły. Nie też dlatego, iż był wierny różnym wartościom. Problem Ludwiczka był bardziej widocznygołym okiem i sprowadzał się do tak prozaicznej sprawy jak – chód.

Chodził on w sposób charakterystyczny – lewą nogę wysuwał do przodu, ale przy każdym takim wysunięciu, prawą nogę jedynie za sobą ciągnął. Noga ta więc zawsze pozostawała w tyle.

Prawa noga była ubrana zawsze niesamowicie elegancko, jakoby jej właściciel wybierał się na ważne spotkanie. Spodnie pozbawione były zagnieceń, a kancik na tyle ostry, iż można byłoby nim kamienie kroić. Ciemny but był doprowadzony do takiego stanu, oczywiście za pomocą pasty do butów, że odbijał wszelakie przeszłe, terażniejsze i przyszłe losy wszechświata. To samo dotyczyło się całej prawej części jego ciała – całość była tak wytworna, że aż śmieszna. A wiecie jakie to utrapienie żyć z taką nogą i taką bijącą prawością?

Lewa dłoń poluznia ciasny gorset obyczajowo-moralny, a prawa zaciska go jeszcze ciaśniej wokół kręgosłupa. Zerowy z tego pożytek.

Lewa noga była ubrana w to, co właścicielowi wpadło jako pierwsze do rąk. Noga ta była przyodziana w dżinsy tak długie, iż czubek sportowych butów nie był spod nich widoczny. Całość była tak niechlujna, jakoby jej właściciel wałęsał się w tym stroju przez dwa żywoty i pół. To samo dotyczyło się całej lewej części jego ciała – całość była tak niestaranna, że aż karykaturalna. A wiecie jakie to utrapienie żyć z taką nogą i taką lewością? Prawa dłoń pielęgnuje tradycje, a lewa szykuje na nie zamach. Zerowy z tego pożytek.

Ludzie różnie oceniali jego osobę – wszystko zależało od tego, z której strony na niego spoglądali. Po tej stronie jego ciała się ustawiali, która to im była odpowiednia. Nikt nie lubił go zatem bardziej, niż jedynie połowicznie.

I nawet, gdy Ludwiczek próbował wybiec do przodu, to prawa noga nieustannie trzymała go w tyle. Nie było na to żadnej rady. Musiał żyć trochę w przodzie a trochę w tyle.

Wszystkie moje śmierci

*Śmierci moja, śmierci, tyś
z najśmiertniejszych śmiertna...*

E. Bryll

- Nie myśl se, że jej nie ma. Że to cię nie dotyczy, bo dotyczy jak diabli. Ubywasz niedostrzegalnie. Już od chwili narodzin skraca się pomaluszku wyznaczona ci miedza. A może nawet i wcześniej? Może to trza jest liczyć od chwili zamysłu Boga, gdy już se postanowi, że się zjawisz dla świata? Hm... Tak czy siak się ubywaod samego początku – tłumaczył cherlawy Kłępa. Przycupnęliśmy w kucki, gryząc brudne paznokcie i chyłkiem łypiąc spode łbów. Bo jeśli stary ma rację, to co?

- No, ale o co konkretnie chodzi? – spytał Stefuś Cybulorz.

- Pomyśl: jak się urodzisz, to dokąd idziesz? Do mety. A tą metą jest koniec. Koniec życia konkretnie. Trumna, smarku, i dół! A po drodze do dołu towarzyszą ci inne śmierci. Ptaków, roślin i zwierząt. Również ludzi, a owszem. A jak oni odchodzą, to część ciebie umiera – mikroskopijna, taka... cieńsza niż włos. Gaśniesz wolno, od środka, za sprawą tych licznych śmiertek, nim się własnej doczekasz. Ubywasz, mały łobuzie, podwójnie. Bo z jednej strony kurczy ci się twój czas, a z drugiej, bo ci ubywa cała dookołność; to co wcześniej oswoisz. Coś jest, potem go nie ma. I szlus!

- Nnno, niby prawda...Ale jak se popatrzeć, to zupełnie widać, że się tutaj coś kurczy.

- Za młodyś, to i nie kumasz. Weź się, Stefuś, rozglądnij. Wszystko jest naokoło, no nie? Czyli niby w porządku.

- Co by nie? Jest w porządku.

- Ha! Skoro jest, ani chybi sądzisz, że tak będzie na zawsze?

- Nnno... owszem.

- Jesteś kiep. Coś jest, to i być musi?! Kapitalna logika!

- Aaaa... kto miałby coś zmieniać? I po co?

- Phi!, twoje myślenie funta kłaków nie warte. I na domiar

wszystkiego pewnikiem sobie ubrdałeś, że wsio cinalęży... Być to mieć. Mieć to być. Mieć i być. No, którą wybierzesz opcję? Wszystkie na raz? Zabawne, co nie? Coś jest – więc, oczywiście, rozkłada się wachlarz roszczeń. A potem zniecka bach! Ni ma. I już nie będzie.

- Nie będzie?

- Na przykład gdy miałeś psa, a ty miałeś Stefanku, czyś dbał jak się należy o tego starego kundla? Nie raz żem go dokarmił. Będzie już ponad miesiąc, jak go nie ma tu z tobą, a ciurkiem becysz po łąkach. Teraz! Stefcio opuścił głowę, zawiercił piętami w darni.

- Łatek padł ze starości... Ale teraz to... dbałbym... – wybąkał.

- No, a ty, Janka – Kłępa skinał swym czarnym, rachitycznym paluchem na moją najmłodszą siostrę – pamiętasz jak padła Mućka? Jak się franca nażarła wilgotnego koniczu? I potem wzdęło cholere. Z drugiej wsi sam Boleczko, weteryniarz przyjechał, jednak było po ptokach. A za gruszą pradziadka, co to ją piorun trzasnął i zwęglił całkiem na ament wasza ciotka nie szlocha?

Janka siąknęła nosem, łzy jej poszły jak groch.

- A ty, Zbyś, nie rozpaczasz za swoimi królami, bo je zjadła zaraza? Jednej nocy ci padły. Jeśli będziesz miećnowe, to przecież już będą inne, nie te same. Nie tamte!!! No, i to są, kochani, te rozmaite śmiertki, jakie nam towarzyszą. Jest ich w koło od groma. Nikt ich na-wet nie liczy... I nie zliczy, bo po co...

*

Wlaży mi wszystkie słowa Jaśka Kłępy głęboko. Na pytanie dlaczego ludzie nie myślą o swoich rozlicznych śmiertkach i czemu nie chcą ich liczyć, stary kużyk je dynie wzruszył ramieniem, głośno chrząknął i splunął.

Hm... Bo może nie wiedzą? – domyślałem się. Albo poprostu nie mają czasu?

Postanowiłem zachować osobiste śmierteczki. Na początek od dziadka

wydebiłem piąta, za jaki zakupiłem w naszym wiejskim sklepiku kajet i garść ślázówek. Następnie, gryząc ślázówki, zajrzałem w czeluść pamięci, żeby sprawdzić, czy są tam jacyś moi umarli. Owszem, byli. Siedziały ich tam dosłownie tłumy. A zatem na czystej kartce wynotowałem, pierwiej bez chronologii, każdego, nawet najlichszego truposza, ażeby ich posortować i potem, wpisując w brulion, już porządnie ułożyć.

W okresie jednego roku spisałem aż dwa bruliony. Trzymałem je pod siennikiem, pod największym sekretem. Aż wreszcie pewnego dzionka pokazałem je Klępie, a on je przekartkował, po czym pokiwał głową wyraźnie zadowolony.

- Ale czy to potrzebne? To... pomoże truposzom? – drażyłem, by mieć świadomość wartości własnej roboty.

Kłępa prześwidrował mnie wzrokiem, skrobnął się prawe ucho i stęknął: - To jedyny ratunek od nicości, ot co!

Miesiąc później dokonał biedak swego żywota, więc wpisałem go w brulion.

*

Jakoś w grudniu mój ojciec zmieniał w siennikach słomę.

- A to... co jest?! – zapytał.

- Śmiertniki...

- Śmiertniki? Tak jak zielniki? Zbierasz sobie umarłych i gromadzisz jak jakieś zasuszone rośliny?

Nic nie rzekłem. A ojciec sięgnął po pasek i mnie chlasnął przez gacie. Następnie w kuchennym piecu pogrzebał żelaznym hakiem aż syknęło pod blachą, potargał w strzępy kajety – i spalił caluśki zbiór.

*

Przeszedłem do konspiracji. Wyostrzyłem ostrożność. Kancelarię z izdebki przeniosłem do starej szopy. Przepisałem na nowo wszystkich moich truposzów. Nikomuani mru-mru! Spis prowadzę wyłącznie, gdy zostaję sam w domu.

Tfu!, dziwnych dożyłem czasów, że się człek dobrej woli musi aż tak tajniaczyć, spisując własne śmierteczki – by je ustrzec od śmierci...

Nic nie mówić

Na początku wyjaśnijmy sobie jedną rzecz, żeby nie było niejasności – nie, nie jestem dumna z tego, że podglądam sąsiadów. Ale gdybyście mieli takich sąsiadów jak nasi, na bank też byście ich podglądali. Nie ma lipy.

A mam dobry punkt, bo okno, przy którym odrabiam lekcje, wychodzi na ich dom. To są starzy ludzie, tak starzy, że nie mam słów. (Mojżeszowi wiszą pięć zeta). Słuchają Grechuty. Czasem przesadzają z głośnością muzyki, ale nie zwracamy im uwagi, bo starsi ludzie muszą się wyszumieć, a poza tym strasznie nam ich szkoda – parę lat temu stracili syna. Chłop miał sześćdziesiąt lat, ale według starych był jeszcze młody. Potrafił go samochód. Tata powiedział, że lepsze to, niż gdyby miał umierać w szpitalu nie wiadomo ile, a wtedy ci biedacy cierpieliby miesiącami. Mama uważa, że lepiej umierać miesiącami, żeby się miało czas, by się przygotować i pożegnać. Tata odpowiada, że nigdy nie ma się go wystarczająco dużo, żeby się przygotować i pożegnać. Mama wtedy już nic nie mówi.

Ta sąsiadka kontaktu ze światem nie ma już żadnego. Spotykam ją prawie codziennie na przystanku, kiedy jadę do szkoły. Przychodzi tam z mężem, wspierając się na jego ramieniu i robiąc krótki krok za krótkim kroczkiem, siada obok i opowiada, że jej syn wyjechał na studia i że czego on tam nie robi. Wczoraj stwierdziła, że dopiero co wyjechał na Malediwy. Nawet wyciągnęła z torebki taką błyszczącą pocztówkę ze zdjęciem oceanu i okrągłych chatek ze słomianymi strzechami na plaży – plaża na zdjęciu była pokryta złotym brokatem. Podała mi ją z dumą do ręki, żebym sobie dobrze wymacała i trochę tego jej brokatowego szczęścia, co to z pocztówką przyszło, miała na palcach choćby przez jeden dzień (przez cały dzień w szkole, czego bym nie dotknęła, zostawiałam na tym malediwski piasek). Potem zaczęła czytać, co było napisane po drugiej stronie kartki – że jej syn poznał tam przepiękną młodą Malediwkę, że zaprosił ją na drinka, że dziewczyna ma polskie korzenie i uwielbia Grechutę. Przy tych słowach jej

oczy rozbłysły szczęściem i miłością i zaczęła opowiadać, że jakie to szczęście ma jej Walduś, że to musi być wspaniała dziewczyna. I że jakie to ładne z jego strony, że nawet poza Polską o Polsce pamięta.

- Zobacz – powiedziała i położyła palec na drobnym napisie na tyle pocztówki, tuż nad kodem kreskowym. – Gdziekolwiek by nie był, wszędzie pamięta, żeby wspierać to, co nasze. Tylko polskie kartki kupuje.

Nie dosłyszałam końca opowieści, bo nadjechał autobus, więc powiedziałam tylko „mega”, po czym wskoczyłam do niego.

Dwa tygodnie wcześniej ta starsza kobieta wspominała, że jest zła na syna, bo w radiu mówili, że jest sezon sesji, a on sobie wyjechał do Australii. Ale tylko przez chwilę była oburzona, bo potem wyjęła z torebki kartkę z rysunkiem kangura, takim, że kiedy porusza się małym wystającym kartonikiem, to z torby wyskakuje mały kangurek, słodszy od tego dużego. Otworzyła kartkę i obróciła ją do góry nogami.

- Mój syn ma poczucie humoru – powiedziała i zaczęła czytać.

Syn pisał, że ma się pysznie, zwiedził operę w Sydney, nurkował i podziwiał rafę koralową – były nawet zdjęcia tej rafy, ale zapomniała z domu wziąć, następnym razem pokaże – poznał fajną Australijkę, pojechali razem poznać tych całych Aborygenów, a oni zaprosili ich na swoją górę: Ayers Rock. Puścił jej „Dni, których nie znamy” i spodobała jej się ta piosenka bardzo.

- Ech, żeby tylko się uczył, a nie za babami latał – westchnęła staruszka, po czym dodała, że słyszała, że tam, w tej Australii są straszne pająki, takie bydlaki wielkie, i że się boi, że jej syna któryś ugryzie.

Pochyliła się do mnie tak, że zobaczyłam te kangurze niebieskie oczy, całą pomarszczoną twarz, kilka pozostałych zębów i skromny, cieniutki biały warkoczyk zapleciony z włosów ocalałych po brutalnie mijających latach.

- To prawda? – zapytała, a ja miałam wrażenie, że przez nieuwagę wpadłam w błękit tych oczu i że fale Oceanu Indyjskiego cisnęły w moje zanurzone w złocistym malediwickim piasku stopy tak mocno, że zamoczyły mi dół sukienki. – Bo ja już, córciu, nic nie pamiętam. To prawda z tymi pająkami?

Kątem oka zauważyłam, jak zza jej ramienia patrzy na mnie jej mąż i kręci błagalnie głową.

- A skąd! – odpowiedziałam i podstawiłam jej pod nos mały palec. – Największe są wielkości takiego paznokcia. – Po czym znów nadjechał

autobus, więc pomachałam jej ręką i wsiadłam.

Jeszcze wcześniej jej syn był w Japonii, przysłał jej kilka ususzonych różowych płatków kwitnącej wiśni (dostałam jeden na szczęście, trzymam w portfelu za folijką), poznał Japonkę bardzo z twarzy podobną do świętej pamięci prababci Kazi i która miała na telefonie dzwonek „Nie dokazuj”. Kiedy był z kolei w USA, to zwiedzał z Indianami Hopi Wielki Kanion, poznał Amerykankę i nawet przysłał jej zdjęcie, znaczy nie tyle jej zdjęcie, co wycinek z gazety, bo to modelka jest (O Jezu, pewnie chuda! – jęknęła wtedy, schowała twarz w pomarszczonych dłoniach i pokręciła głową). Trzymała ten maleńki wycinek w portmonetce, obok zdjęciasyna i męża, jak świętość. Rzuciłam okiem na zdjęcie Taylor Swift i bardzo dobrze, że wtedy autobus nadjechał, bo to były te czasy, zanim jeszcze się skapnęłam, że lepiej jest czasami nic nie mówić. Potem pojechał do Afryki i wtedy chyba za dwadzieścia minut mi jęczała, że przecież jeśli on się zdecyduje z tą piękną Nigeryjką, o której pisze, do niej przyjechać, to przecież ona nie mapojęcia, co tej dziewczynie ugotować, bo nie wie, co się je w Afryce.

Ale jej mąż jest jeszcze dziwniejszy. Co niedzielę, wieczorem, kiedy odrabiam lekcje na poniedziałek, podchodzi do furtki i wsadza coś do własnej skrzynki. Powiedziałam kiedyś rodzicom, że to trochę dziwne, że tacy starzy ludzie – bo ile oni mają... z osiemdziesiąt lat na pewno – mają syna w studenckim wieku. Popatrzyli tylko na siebie i pokiwali głowami. I nic nie powiedzieli.

Mama

Sądziłam, że tylko przez grzeczność mama zerknie na moje fotografie. Ona jednak wciąż je oglądała. Czekałam, co powie. Zamknęłam okno, bo pojedyncze krople deszczu już rozmazywały się na szybie. Zasunęłam zasłonę, zapaliłam lampę. Mama nie opierała głowy o poduszkę. W nachyleniu tułowia i w naprężeniu szyi zobaczyłam ją taką jak przed laty – energiczną, ciekawską, młodą. Tylko ręce trzymające zdjęcia drżały.

Odłożyła fotografie na kołdrę, a okulary na szafkę. Potarła oczy i spojrzała na mnie:

- Dlaczego tam nikogo nie ma?

Zaskoczyła mnie. Oczekiwałam pochwały za wyszukanie ginących, a tak ładnych miejsc. A nawet uznania za tyle starań, by je utrwalić, zanim mury się rozkruszają w pyłe rozwieją. Zanim trawa porośnie to, co ludzie tworzyli przez całe lata i co w jednym momencie musieli opuścić.

- Bo to jest świat miejsc, mamó. Tak sobie ten cykl wymyśliłam.

Przecież miejsca też dużo mówią o ludziach, prawda?

- Zdjęcia są ciekawe, takie inne, nastrojowe – mama wzięła do ręki to, które leżało najbliżej – Ale mnie nie mogą się podobać, nie mogę ich polubić.

- Trudno. Sztuka nie jest po to, by ją lubić – powiedziałam, zbierając zdjęcia z kołdry.

Oczy mamy błyszczały. Dotknęłam jej czoła. Na szczęście było chłodne. Schyliłam się, by wziąć z jej rąk ostatnią fotografię, ale palce mamy zacisnęły się na niej.

- Zostaw mi – poprosiła.

- Która to? Pokaż.

Mama odwróciła kartonik w moją stronę.

Po kolacji zazwyczaj już tylko na parę minut zostawałam w jej pokoju. Gdy wzięła lekarstwa, pytała mnie, co planuję na jutro, jakie mam spotkania, co na obiad, o której godzinie będę wychodzić. Dziś było podobnie. Gdy oklepywałam jej plecy, usłyszałam, że źle oddycha. Siedząc

na łóżku, schylała nisko głowę, oczy miała zamknięte.

- Mamo, gorzej się czujesz?

- Nie wiem, coś mnie tak rozebrało.

- Przykryj się, teraz nie powinnaś się wietrzyć, masz rozgrzane plecy.

Zegar w moim pokoju bił dziewiątą. O tej godzinie zwykle włączałam laptop i zaczynałam pracować. Coś nie pozwalało mi jednak opuścić pokoju mamy. Może deszcz, którego u mnie nie słysząc, a który tak delikatnie, falami uderzał o szyby.

- Mówisz, Ewuniu, że sztuka nie musi się podobać. A czy ona coś musi? Ty to wiesz, bo robisz artystyczne fotografie.

- Wzruszać, poruszać, dawać do myślenia – odpowiedziałam i wzięłam mamę za rękę.

Nie puszczała jeszcze mojej dłoni. Spojrzała mi w oczy, mówiąc:

- Za późno cię urodziłam, Ewuś. Miałam mało czasu, żeby się tobą nacieszyć. I zaraz nie będzie go wcale.

- Nie miałas nigdy czasu, żeby mi powiedzieć, kto jest moim ojcem – wykorzystałam jej chwilę słabości, by wypomnieć to, co mnie bolało.

Teraz, gdy z każdym dniem ją traciłam, z żalem myślałam, że już nigdy tego się nie dowiem.

- Gdy pojechałaś na Dolny Śląsk fotografować te miejsca, dziwnie się poczułam. Jakby to był jakiś znak. Bo wiesz, ja byłam tam na leczeniu trzydzieści cztery lata temu – powiedziała cicho.

- Znowu zmieniasz temat, gdy pytam o ojca. To twoja metoda. Idę do siebie.

Weszłam do swojego pokoju. Ułożyłam na biurku papiery, ołówki, koperty. Coś mi jednak przeszkadzało, zakłócało ciszę. Wstrzymałam oddech. Czy to deszcz stuka do mojego okna? Podciągnęłam roletę. Przecież to niemożliwe! Nigdy nie padał pod takim kątem, by mógł dotykać szyby. Teraz jednak woda odbijała się od niej, zalewała, zasłaniała świat. Nagle zapragnęłam wrócić do mamy. Szybko! Muszę cofnąć czas, odzyskać moment, w którym chciała mi coś powiedzieć.

Leżała, trzymając to zdjęcie. Usiadłam na brzegu jej łóżka.

- Gdy zapytałam cię o ojca, to ty wcale nie zmieniłaś tematu, prawda? Chciałaś mi o nim powiedzieć.

Mama skinęła głową. Długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Widzisz, szczęście, jakie spotkało mnie i Adama, twojego ojca, to istny cud. Nieraz chciałam ci powiedzieć o nim, ale... O tym nie da się mówić. Poznaliśmy się już w pociągu i byliśmy ze sobą cztery tygodnie. Od początku wiedzieliśmy, że to na chwilę i każde rozjedzie się w swoją stronę.

- Dlaczego?

Mama nie odpowiedziała, uniosła fotografię, byśmy obie mogły ją widzieć. Powiedziała ochryłym, nie swoim głosem:

- Na tym właśnie dworcu go pożegnałam. Naprawdę! Tutaj! To było tutaj! – potrząsnęła fotografią – Skąd wiedziałaś, żeby tam właśnie pojechać?

- Mamo, to przecież przypadek. Nie denerwuj się.

Jej ogromne wzruszenie przeraziło mnie. Tak bardzo, że nie zapytałam o nic więcej. Niech już nic nie mówi, tylko niech jeszcze żyje, niech się uspokoi, niech zaśnie i obudzi się rano.

- Gdy go odprowadzałam ostatniego dnia, zapadał już zmierzch... – mama wzięła głębszy oddech i zaczęła kaszleć.

- Nic nie mów, mamo...

- Nad budynkiem dworca, nad zadaszeniem peronu byłatka sama smuga światła jak na twojej fotografii. Liściei szyny też tak błyszczały.

Mama przykryła twarz dłońmi. Przytuliłam ją. Po chwili podniosłam jej rękę i potarłam wierzchem dłoni o swój policzek, tak jak ona robiła mi, gdy byłam mała.

W nocy wstawałam do niej kilkakrotnie, zmieniałam zimne kompresy, by zbić gorączkę. Rano lekarz zdiagnozował zapalenie płuc. Przy jej przewlekłej chorobie był to właściwie wyrok. Mama zmarła w szpitalu po dwóch tygodniach.

Przez długi czas niczego nie porządkowałam w jej pokoju. Pozostawione przez mamę rzeczy i papiery musiały na mnie poczekać. Wczoraj usiadłam przed jej biurkiem. Nie było w nim żadnych listów, notatek ani kalendarzyków. Trochę widokówek z pozdrowieniami z wakacji, przeważnie ode mnie, parę starych zaproszeń na ślub. Laurki i rysunki, które dawałam mamie w dzieciństwie. Przepisy kulinarne wycięte z gazet. Mnóstwo różnych wyników badań, wypisy ze szpitala. No i fotografie. To one zajmowały najwięcej miejsca – ułożone starannie w małych klaserach, posegregowane w kopertach, pudełkach. Obejrzałam je wszystkie, oglądałam wiele razy z ciekawością, wzruszeniem, czułością, czasem niedowierzaniem – ten zatrzymany w biegu obraz życia mamy. Oglądałam je ciągle.

Dzisiaj podjęłam ważną decyzję – do tego samego pudełka włożyłam zdjęcie mamy i to, które było w błękitnej, wypłowiałej kopercie. Jest na niej mężczyzna w ciemnym prochowcu, a obok niego niepełnosprawny chłopiec na wózku. I dedykacja: „ Najdroższej Jadzi – Adam.” „Bądźcie sobie razem” – powiedziałam do nich. Po chwili dołożyłam jeszcze fotografię ze smugą światła na peronie.

Spotkanie

Spotkały się w kawiarence na rogu, tej z przytulnym wnętrzem i uprzejmą obsługą, w której czas jakby stanął w miejscu, a z głośników sączyła się nastrojowa muzyka.

Pierwsza przyszła, a właściwie przybiegła Najmłodsza. Zwykle na wszelkich spotkaniach zjawiała się ostatnia, ponieważ za nic miała punktualność. A zwłaszcza, kiedy zagadała się z koleżanką. Akurat tego dnia pomyliła godziny i dzięki temu przypadkowi przyszła za wcześnie. Modnie ubrana, z nonszalancko przewieszoną przez ramię torbą. Tak dużą, że mogłaby chyba zmieścić w niej cały dobytek uzbierany podczas swojego krótkiego życia. Miała wymyślną fryzurę. Wypielęgnowane dłonie zdobiły paznokcie pomalowane na różne kolory oraz pierścieni z oczkiem wielkości piłeczki pingpongowej. Na szyi Najmłodszej pobrzękiwało kilka wisiorków. Smukłe biodra opinały dopasowane spodnie, a cała postać swobodnie balansowała na niebotycznie wysokich obcasach. Jako druga pojawiła się, punktualna co do minuty, Średnia. Jej życie, tak jak i nienaganny wygląd, mieszkanie w modnej dzielnicy i nowy samochód było uporządkowane i stabilne. Jej dzień był dokładnie zaplanowany, bo przecież jako kobieta na stanowisku nie mogła pozwolić sobie na spontaniczność. Nie tolerowała spóźniałstwa, dlatego ujrzawszy pogrążoną w smsach Najmłodszą poczuła zadowolenie, gdyż spodziewała się, że z pewnością spóźni się co najmniej kwadrans przez te swoje miłostki, ciuszki, koleżaneczki i inne błahostki. Ubrana w elegancki kostium, z fryzurą prosto od fryzjera, który potrafił umiejętnie ułożyć jej kręcone włosy, z idealnie dobraną torebką, dyskretną biżuterią i stonowanym makijażem, pewnie ruszyła do stolika, przy którym Najmłodsza popijała swoją dietetyczną colę. Rozpoczęły pogawędkę o niczym, kiedy w kawiarence zjawiała się Starsza. Jeszcze kilka lat temu przyszłaby punktualnie, bo podobnie jak Średnia, nie lubiła się spóźniać, ale akurat dziś rano miała zaplanowaną długo oczekiwaną wizytę u lekarza i chociaż spieszyła się jak tylko mogła, na nic się to nie zdało. W drodze na spotkanie musiała ciągle przystawać z powodu bolących nóg i mocno

bijącego serca. Starsza była skromnie, ale schludnie ubrana w garsonkę pamiętającą lepsze czasy i buty na płaskim obcasie. Siwe włosy miała ułożone w delikatną trwałą. Na jej dłoniach nie było biżuterii, gdyż pierścionki przegrały z artretyzmem wykrzywiającym palce.

- U mnie to właściwie nuda – zaczęła Najmłodsza. – W sumie nic się nie dzieje. Najwięcej czasu zajmują mi te... (o mało nie wypowiedziała słowa, które mogłoby zbulwersować pozostałe panie, na szczęście w porę się zreflektowała), no te studia. „Zarządzanie – przymuszanie” – to mówiąc pogardliwie wydeła usta.

- Też kiedyś tak mówiłam – zaczęła Średnia. – Nawet skończyłam taki sam kierunek, jak ty. Dziś, z perspektywy lat dobrze wspominam czasy studenckie. Człowiek czuł się wtedy taki swobodny, wolny. Taki... po prostu młody – rozmarzyła się

- W czasach, kiedy ja się uczyłam nauka była luksusem, a na studia szli tylko wybrani – stwierdziła Starsza. – Masz rację. Ciężko dostać się na jakiś kierunek, po którym nie trzeba będzie stąd wiać za pracą za granicę – wzruszyła ramionami Najmłodsza.

- Najlepiej nigdzie nie ruszać się z kraju, we własnym domu najbezpieczniej – stwierdziła Starsza.

- No chyba że zaproponowaliby mi jakiś ciekawy kontrakt, to bym się zdecydowała – zamyśliła się Średnia.

- Jasne, jeśli kasa byłaby wporzo, to bym pojechała chociażby na zmywak – odpowiedziała Najmłodsza.

- A może byśmy tak coś przekąsiły? Nie wiem, jak wy, ale ja umieram z głodu – to mówiąc przywołała wzrokiem wpatrującego się w nią od jakiegoś czasu kelnera. Najwyraźniej Najmłodsza miała apetyt nie tylko na życie, gdyż zamówiła podwójnego hamburgera ze wszystkimi możliwymi dodatkami. – Powinam mniej jeść, bo jestem już taka gruba – Najmłodsza z odrazą spojrzała na swoje idealne biodra.

- Co ty mówisz, masz idealną figurę – wykrzyknęła Średnia. – Ja, chociaż bardzo uważam na to, co jem, i tak nie potrafię schudnąć i na nic się zdają diety i fitness dwa razy w tygodniu.

- A ja swoje życie mogłabym określić jako uporządkowane – podjęła przerwany wątek Średnia. – Bez szaleństw, ale też nie monotannie. Praca, bo trzeba zarobić na dom, wakacje i te wszystkie rzeczy, bez których jakoś tak coraz trudniej się obyć. Dzieciaki dorastają. Mąż ten sam od prawie

dwudziestu lat – tu wymownie spojrzała na kelnera, który tkwił przy barze ze wzrokiem utkwionym w Najmłodsza. – Nikt już na mnie nie patrzy tak, jak on na ciebie – zwróciła się do Najmłodszej. – Faceci – Najmłodsza wzruszyła ramionami – to zakąła społeczeństwa. Potrafią tylko życie zatruwać. Ja na przykład mam ich dość, ciągle tylko się gapią, jakbym coś ukryła w tym moim dekolcie. Idę po ulicy, a taki podchodzi, że niby chce zapytać o drogę. Akurat, już jaznam takie sztuczki – prychnęła. – Zagaduje, a ja już widzę, jak mu się oczy ślizgają. — Jeszcze z rozrzewnieniem wspomnisz te czasy – westchnęła Średnia. – Zobaczysz, jak zostaniesz mężatką, to już nawet własny mąż spojrzy na ciebie tylko wtedy, kiedy będzie chciał, żebyś pomogła mu znaleźć kluczyki do samochodu.

- No za mąż to ja raczej nigdy nie wyjdę. Spotkać się z kimś, gdzieś wyskoczyć – czemu nie, ale żeby zaraz dać się stłamsić jakiemuś koleśowi? Co to, to nie.

- A ja dawno, dawno temu też nie spieszyłam się do zamęścia, ale jak już znalazłam odpowiedniego kandydata, dobrze nam się razem żyło, chociaż nie zawsze było lekko, a teraz tęsknię z moim Franiem. – Starsza ukradkiem otarła łzę. – W moim życiu nie dzieje się wiele. Moja codzienność to dom, osiedlowy sklepik, przychodnia i czasem, kiedy pogoda dopisuje, ławeczka na skwerku. No i oczywiście radości i troski związanez dziećmi i wnukami. Wspomnienia mają u mnie teraz pierwszeństwo przed terażniejszością. Rozmyślałam o tym, co przeżyłam, wspominam dzieciństwo, lata dorastania, szkolne kłopoty. Dzień mojego ślubu pamiętam jakby to było wczoraj – ja w sukni z długim welonem, mój mąż taki przystojny.

- Fajnie byłoby znaleźć kogoś takiego – rozmarzyła się Najmłodsza. – I tak wyświatlam w myślach film ze swojego życia, czasem gorzko zapłaczę, czasem uśmiechnę się do wspomnień – kontynuowała Starsza. – A teraz, ponieważ czuję, że zaprzyjaźniłyśmy się ze sobą, chciałabym wam coś pokazać. To mówiąc wyciągnęła z torebki małe pudełeczko. Kiedy zdołała otworzyć go zniechęconymi palcami, ich oczom ukazał się pierścionek z turkusem, identyczny jak ten, który zdobił dłón Średniej.

- Od kiedy palce zniekształciła mi choroba, nie mogę go już zakładać, ale zawsze noszę przy sobie. Dostałam go od mamy, niedługo przekażę córce. W nim ukrywam moje radości i smutki. Kiedy spoglądam na błękit jego oczka, czuję siłę płynącą ze wszystkich przeżytych przeze mnie lat.

- Dziwne, ja mam identyczny – to mówiąc Średnia wyciągnęła przed

siebie dłoń. – Ja też – dodała Najmłodsza. – Wiecie co? Mamy ze sobą dużo wspólnego, jesteśmy jakby takie same – ze zdziwieniem krzyknęła Najmłodsza, tak głośno, że oczy innych klientów skierowały się w ich stronę. – Masz rację, ty przypominasz mnie, kiedy byłam młodsza – Średnia zwróciła się do Najmłodszej. – A ty jesteś taka, jaką ja chciałabym być w przyszłości – spojrzała na Starszą.

- Nasze życie to droga. Narodziny wiodą nas poprzez dzieciństwo ku dorastaniu, poprzez młodość. Ta zaś prowadzi do dorosłości. Dojrzałość daje nam mądrość, odbierając w zamian nieco urody i witalności, a końcowym przystankiem naszej podróży jest starość. Ty kochana – wskazała na Najmłodszą – jesteś Młodością. Piękną, nieco naiwną, uczącą się na własnych błędach. Ty moja droga – zwróciła się w stronę Średniej – Jesteś Dojrzałością – dużo przeżyłaś, ale wiele jeszcze przed tobą. Ja to Starość, będąca sumą i kontynuacją waszych doświadczeń. I chociaż na razie wydaje się wam to okropne, a właściwie to nawet niemożliwe, każdy dzień przybliża was do zostania mną. Tak więc korzystajcie z dnia, cieszcie się życiem, a biegnąc przed siebie dostrzegajcie to, co w nim piękne, żebyście kiedyś, po latach nie żałowały, że coś wam umknęło.

I tak się rozstały. Młodość biegnąca do tysiąca rozpoczętych przez siebie zajęć, Dojrzałość mająca dokładnie zaplanowany dzień i Starość powolutku zmierzająca do celu podróży.

Kategoria wiekowa „B” – PROZA

I miejsce: Patrycja Rączka – godło: Atelis

Chłopiec z chmur

Zamieszkałem na chmurze. W zasadzie to nie jestem do końca pewien, czy ona jest moja, ale rezyduję na niej, więc za taką ją uznaję. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze uwielbiałem spędzać czas, leżąc beztrosko na podwórku, kiedy wokół mnie usłyszeć można było wyłącznie anielskie pośpiewywanie ptaków, finezyjny szum listków, gdzie do nozdrzy dobiegał rześki zapach żdźbeł trawy, a nade mną roztaczało się jasnoblękitne płótno zmarłych, z poruszającymi się na nim niewinnie białymi obłokami, które zmierzały w sobie tylko znaną stronę. Najlepiej było, gdy obok mnie na trawiastym dywanie leżał tata, wtedy zawsze graliśmy w wymyślanie i nadawanie chmurom kształtów, a wygrywał ten, który wymyślił im najbardziej nietuzinkowy i cudaczny opis. Obaj byliśmy w tym całkiem niezli, jednak tata zdecydowanie lepszy, do momentu, kiedy podzielił się ze mną swoim niezwykłym sekretem; „Wszystko ma znaczenie dopiero wtedy, kiedy mu je nadasz”. Ten przepis wzmocnił zdecydowanie moje umiejętności nazywania chmur. Ćwiczyłem i ćwiczyłem, aż pewnego razu ponownie z tatą spotkaliśmy się na naszym ulubionym zajęciu. Pamiętam do tej pory jego dumny uśmiech i oczy, które same się do mnie śmiały, kiedy go pokonałem. Stwierdził, że szybko się uczę, po czym poczochnął mnie po włosach i nazwał szefem. Uwielbiałem, kiedy to robił. Uwielbiałem spotykać się z nim na podwórku na oglądaniu chmur i rozmowach. To była taka tylko nasza wyjątkowa rzecz. Rzecz ojca i syna.

Rozmawiałem kiedyś dużo z tatą na ten temat. Na temat mieszkania na chmurze. Tata zawsze był tym twardszym w naszej rodzinie i wszystkie ciężkie zadania spadały na jego głowę. Chociaż na początku do końca nie byłem pewien, dlaczego był to dla moich rodziców taki trudny temat. Chmury są przecież czymś pięknymi wspaniałym, więc jak mówienie o nich może być czymś drażliwym? Tego popołudnia mama na początku przysłuchiwała się naszej rozmowie na temat chmur, ale kiedy już sobie kompletnie nie radziła z tuszowaniem słonych łez płynących z jej słodkich,

lazurowych oczu, po prostu wyszła, jakby wszystko ją zaczęło przerastać, a ja zostałem z tatą, dla którego to wszystko też nie było łatwe. Zapytałem go, dlaczego mama jest taka smutna ostatnim czasem, na co on mi odparł, bym się tym nie przejmował. Przestałem więc, pomimo że miałem wrażenie, iż za każdym razem, kiedy wchodziłem do pomieszczenia, a uwaga mamy skupiała się na mnie, jej mina momentalnie rzedła, humor znikał, a zamglony wzrok przestawał mnie dostrzegać. Po pewnym czasie po prostu zacząłem jej unikać. Nie chciałem, żeby przeze mnie była smutna.

- Będę mieszkał tam zupełnie sam? – zapytałem wtedy taty podczas naszej rozmowy. Wizja mieszkania na chmurze była dla mnie czymś wyjątkowym, jednak zdecydowanie lepiej byłoby, gdyby on mógł zamieszkać tam ze mną. Obaj przecież równie mocno kochamy chmury, więc jemu też to na pewno by się ogromnie spodobało.

- Zawsze będziemy z tobą. Może nie tak blisko fizycznie jak teraz, ale obiecuję ci, że zawsze będziemy przy tobie i nigdy nie będziesz sam – powiedział, kładąc swoją brodę na czubku mojej głowy i ramieniem przyciągając mnie bliżej swojego pełnego ciepła ciała. - Zawsze będziemy pod jednym słońcem, księżycem i gwiazdami. Nigdy nie będziesz sam... - obiecał mi, po czym złożył delikatny pocałunek na moich włosach.

Mój tata nie tylko mówił mi, że mnie kocha. On mi to pokazywał. Każdego dnia. To, że zacząłem wierzyć w samego siebie zawdzięczam jemu, bo to on pierwszy uwierzył we mnie. Dał mi w ten sposób najcenniejszy skarb tego świata, nadzieję, którą tchnęła do życia prawdziwa miłość. Miłość, która każdego dnia była uważnie pielęgnowana i podlewana. Miłość, która rozkwitała niczym filigranowa niezapominajka. Miłość, która nigdy nie więdła. Miłość, która nauczyła mnie najważniejszych wartości w życiu. Miłość, która po prostu nauczyła mnie żyć. Miłość, która podarowała mi skrzydła i nauczyła mnie latać. Mimo tego, że dzieliło nas całe niebo, miejsce mojego taty zawsze było w moim sercu.

Z ogromną ciekawością oglądałem, jak wstawał co rano i nieraz pierwsze jego kroki kierowane były w stronę mojego pokoju, jak kiedyś co rano, kiedy budził mnie do szkoły. Czasem zatrzymywał się w odległości kilku metrów od odrapanych drzwi, czasem, gdy jego dłoń dotykała już chłodnej klamki, a czasem, gdy jego stopy stanęły na miękkiej wykładzinie sypialni. Gdy już wszedł, siadał na łóżku i gładził zimną pościel, która od dłuższego czasu leżała nienaruszona, poprawiał poduszki i stawiał prosto

mojego ulubionego pluszaka-dinozaura, pana Tengena. W inne dni obserwowałem, jak o poranku robił podwójną porcję kanapek, z czego jedna z nich miała odkrojone twardsze skórki chleba, w dokładnie taki sposób, w jaki ja je jadłem. Niekiedy jego ciało zawieszało się fraszobliwie w momencie, kiedy z przyzwyczajenia nakrył do stołu cztery talerze, gdy wiadomo było, że jeden z nich pozostanie pustymi wyglądniały. Obserwowałem też to, jak w drodze do pracy zajeżdżał przed moją szkołę, pomimo tego, że nie siedziałem w jego samochodzie, w fotelu obok i nie słuchałem, jak opowiada mi o ostatnich rozgrywkach klubowych jego ulubionej drużyny piłkarskiej.

Zawsze dostrzegałem tę zmianę na jego twarzy, zmianę, którą trudno było porównać do czegokolwiek. Chciałbym porównać ją może do jesiennego deszczu, który pokrywał ulice swoim mrokiem, lecz nawet w tym deszczu dało się odnaleźć coś pięknego i magicznego. W jego twarzy nic takiego nie było. Ona po prostu wyrażała ból. Czysty, niezmacony niczym ból. Ból, który łamał moje serce na setki, tysiące, miliony i miliardy kawałków i kawałeczków, a każdy z nich wręcz krzyczał i błagał o ukojenie. Chciałem go jakoś pocieszyć w tych momentach, powiedzieć, że przecież wciąż tam jestem, on jednak jakby nie słyszał mojego cienkiego głosu. Jestem wręcz przekonany, że chciałby go usłyszeć, ale po prostu nie był w stanie, nieważne, jak bardzo by tego pragnął, co wieczór, kiedy pomagał mi w pracy domowej albo gdy oglądaliśmy razem po kryjomu przed mamą mecze, gdyż było już grubo po obowiązkowej godzinie kładzenia się do snu. Mam wrażenie, jakby tata odczuwał moją obecność, a jednocześnie jej brak zakorzeniał się w jego ciepłym i przepelnionym miłością sercu, niczym bezlitosne ostrze noża. Przebywałem w nim, jednocześnie przebywając zupełnie gdzie indziej. I żadne z nas nie było w stanie pojąć tego rodzaju duszącej pnączami swoich krzewów rozłąki. Rozłąki, na którą bestialsko skazano nas obu.

Gdybym tylko mógł, zeskoczyłbym z chmury. Nieważne jak bolesny i tragiczny w skutkach mógłby być upadek, wiem, że tata by mnie złapał. Zawsze by mnie złapał. Stąd jednak nie mogłem zeskoczyć. Mimo woli, jakaś nigdy niespotykana wcześniej przeze mnie siła, ciągle trzymała mnie za ramiona, nie pozwalając do nich wrócić. Chciałem tam wrócić. Dla nich. Nawet do tego okropnego miejsca, w którym teraz byli. Tam, gdzie imiona, zamiast na kartkach, zapisywane były na zimnych, kamiennych płytach. Tam, gdzie brzozy były świadkami szerszych pożegnań niż te na

lotniskach. Tam, gdzie wiatr niósł setki wspomnień wylewanych przez ludzi na oziębłe już i bezduszne mogiły. Tam, gdzie gorzkie prośby i siarczyste żale nie mogły już zmienić biegu zapisanych zdarzeń.

Spojrzałem na przytłaczający widok, który rozpościerał się przede mną. Na moją mamę trzymającą w jednej kościstej ręce namokłą już od słonych łez chusteczkę, a w drugiej zaciskającą kruchą i malutką dłoń mojej siostry, która spoglądała na nią świecącymi i zatroskanymi oczkami. Tata stał tuż obok nich, ale wydawał się jakby stał w zupełnie innym świecie, swoim świecie. Jego wzrok utkwniony był w jednym miejscu, w jednych słowach, które czytał raz po raz, jakby nie potrafił w pełni zrozumieć tego, co czyta. Brakowało mi tam, czułem to. Czułem to w całej swojej cherubinowej duszy, która wylewała teraz miliony seraficznych łez, błyszczących niczym najczystsze srebro. Nieważne to było dla losu, jednak tak bardzo pragnąłem tam teraz być, tak bardzo pragnąłem chwycić dłoń taty, tak bardzo pragnąłem pocieszyć mamę i przytulić czule siostrę, gdyż prócz mego imienia wrytego na bezdusznym kamieniu, mnie tam nie było. Byłem u góry i stamtąd spoglądałem na nich. Wystarczyłoby, aby unieśli głowy i spojrzeli w górę.

Spójrzcie. Proszę. Spójrzcie w górę.

I wtedy jak na zawołanie, jakby mój głos usłyszany został, jakby po raz pierwszy. Ujrzałem twarz ojca, który spojrzał wprost na mnie. Spoglądał na mnie. Spoglądał po raz pierwszy od tak długiego czasu. Zdecydowanie zbyt długiego. Byłem spragniony jego uwagi, którą właśnie wchłaniałem niczym konfesjonał grzechy ludzi. Czekałem, aż nazwie mnie szefem, to jednak nie nastąpiło, ale na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech, taki jak wtedy, kiedy to mówił, a jego oczy rozświeciły się niczym najpiękniejsze gwiazdy w ciemnej otchłani nieba. Miał rację. Nigdy nie będę sam, bo jego miłość zawsze otuli mnie błogo swoimi skrzydłami i pozwoli wlecieć wysoko. Aż do samych chmur. Tam będę na niego czekał, niczym Ikar, który nie upadł.

II miejsce: Maksymilian Kordek – godło: Poeta

Życie jest jak nieustannie obracające się koło, na którym nikt nie może się zbyt długo utrzymać. I w końcu, po każdym kolejnym pełnym obrocie, powraca do punktu wyjścia.
~ Stephen King, „Bastion”.

Wschowski dworzec autobusowy składa się z czterech otwartych stacji dla autobusów oraz budynku administracyjnego, który doskonale pamięta poprzedni ustrój Polski; pożółkłe i starzejące się ściany gmachu są tego najlepszym, lecz z pewnością niejedynym potwierdzeniem. Tutejsi pracownicy też żyją jakby epokę wcześniej niż świat wokół. Wręcz zalatuje od nich PRL-em. A może to tylko woń sfilcowanych wykładzin w poczekalni? Ta sprawa pozostanie nierozwiązana. *C'est la Vie*, sędzie najwyższy. Kto wie, może takich postkomunistycznych ekosystemów jest od groma i wcale nie są na wymarciu, wbrew powszechnej opinii? Ba, przecież prawdopodobnie mają się świetnie. I choć jest ich coraz mniej, historia oraz energia która nadal się wokół nich roztacza, może powoli – kawałeczek po kawałeczku – odzyskiwać utracone panowanie. Liczebność nie gra tu roli – w końcu, krąg się zawsze zamyka.

Dziełem przypadku, na dachu tego właśnie przybytku swoje gniazdo postanowiła zbudować parka gołębi, w oczekiwaniu na potomstwo. Ta rodzina dla odmiany, nie była pokłosiem PRL. Pech chciał, że akurat dzisiaj – w dzień wyklucia piskląt – wiatr skierowany na dach dmuchnął mocniej, niemiłosiernie przy tym pohukując. Co za dantejska scena. Liście przydworcowych drzew zaczęły się lekko kołysać – przyspieszając co chwila tempo. Czy były zadowolone z tej sytuacji? Któż to wie. Te, które spadły wcześniej na ziemię, wirowały już od dobrych paru minut niczym bębenek pralki w trybie wirowania. Zdawać by się mogło, że wiatr za cel obrał sobie dokładnie ptasi domek, którego fundamentami były cienkie gałązki kasztanów z pobliskiego parku (tego, który mijają prawdopodobnie każda osoba kierująca się w stronę skromnego dworca). Gałązki zbyt kruche na

obronę przed surowym wichrem. O takim stanie rzeczy mieli wkrótce przekonać się wszyscy członkowie ptasiej rodziny – dwoje ze skutkiem śmiertelnym. I tak, wszystko za sprawą niefortunnego losu, srogi żywioł zakończył żywot dopiero co wchodzących w wir rzeczywistości piskląt. Ptasia matka próbowała oczywiście odmienić kolej rzeczy – usilnie starała się pochwycić na wpół wyklute zwierzątka w objęcia swojego dziobu. Daremnie. Będąc już na skraju daszku, pisklęta poddały się sile grawitacji i poleciały niemo w dół. Plask. Niektóre kręgi zataczają się szybciej. Twór złożony z pozostałości po skorupach i wnętrzu jajek wylądował na chropowatym chodniku, niedaleko zadymionego okienka, w którym staruszka z tendencją do plotkarstwa sprzedaje bilety. Kasjerka, pani Kaźmierczak, która nazajutrz odnajdzie fiasko natury – bo tym w jej odczuciu stały się ptaszątka – z pewnością poczuje się do odpowiedzialności, by zapewnić im godny pochówek. Na tyle godny, na ile pozwala jej serce zatrwożonej chrześcijanki. Pewnie wrzuci je do kubła na śmieci – nie bezizolacji, oczywiście. Zawinie pisklaki w plastikową siatkę.

Wszystko to obserwował bacznie (lecz zupełnie biernie) pracownik linii autobusowej Wschowa-Leszno. Adrian Busz (pseudonim Stalówa), nie poczuwał się w żadnym razie do pomocy staruszce. Dogorywający reumatyzm kobiety nie mógł konkurować z koniecznością dopalenia papierosa. Nie ośmielił się jednak karmić swojego nałogu w zamkniętym autobusie. Mimo wszystko, niechlubne nawyki mogłyby doprowadzić do zwolnienia dyscyplinarnego. A co poza tą pracą czekało na niego w tym świecie? Tak więc, opuścił szybę przy fotelu kierowcy. Na dworze było gorąco, liście szumiały lekko na wietrze. Szyba jednak, była opuszczona tylko do połowy – z niemal chirurgiczną precyzją. Gdyby mężczyzna o posturze sflaczałej dętki pozwolił sobie nachoczyć centymetr więcej, pani Kaźmierczak nie zastanawiałaby się ani chwili nad zaciągnięciem go do pomocy. A przecież zaraz miał wyruszać w trasę. Pogrzeb mógł trwać bez jego udziału. Poza tym, na świecie działy się rzeczy o wiele podlejsze niż ten ptasi incydent. Z taką myślą wyrzucił papierosa przez okno, które następnie zamknął i podjechał bezszelestnie do przystanku. Zero ryzykanctwa.

Stuk, stuk, stuk.

Nawyki postukiwania w kierownicę to powszechna norma u kierowców. Jest to nieświadomy proceder oraz niewypowiedziany rytuał, który świetnie pomaga ze zniecierpliwieniem i cieszy się powodzeniem wśród

pracowników transportu miejskiego. Jakoś trzeba sobieradzić.

Na przystanku nie czekał żaden potencjalny pasażer. Dziwna sprawa, pomyślał kierowca.

Po wielu rytmicznych uderzeniach palcami w karoserię wozu (brzmiały nieco podobnie do melodii śpiewanej podczas urodzin), Stalówa sprawdził po raz ostatni czy do drzwi nie dobijają się spóźnialscy pasażerowie. Delikwentów brak, całe szczęście. Na dworcu rozbrzmiał stukot szpilek.

Gdyby tylko nie zamknął szyby...

Mężczyzna pochwyił kierownicę w obie ręce, tym razem bez postukiwania i przekręcił kluczyk pojazdu. Kiedy silnik rozgrzał się na dobre, Pani Kaźmierczak już nie było w pobliżu. Podobnie z pisklakami – została po nich tylko plama krwi (dosyć zaschnięta mimo krótkiego czasu – było gorąco). I tak, będąc pewnym wykonanego zadania, Adrian ruszył z przystanku w stronę dość ruchliwej drogi. Słońce było coraz niżej na niebie. Razem z nim schodziła temperatura, jednak nieznacznie. Niemal rutynowa jazda została przerwana krótko po jej rozpoczęciu. Dziwne. Mężczyzna poczuł najpierw nieznamy głos dobiegający gdzieś z pobliża – na tyle głośny aby przebić się przez szyby, potem ukłucie adrenaliny (dziwne) i finalnie szczęk kości pod kołami autobusu. Kolejność mogła być inna, ale Adrian miał szczerą nadzieję, że chrobot łamanego szkieletu nie poprzedzał pokrzykiwań. Czymkolwiek była poturbowana istota, jej gabaryty przewyższały wielokrotnie rozmiar ptasiego ciała. Okazało się, że ktoś jednak czekał na autobus i był zdeterminowany aby do niego wsiąść. Nie było wątpliwości, rozjechano człowieka.

Ręce Stalówy nadał oblegały kierownicę. Teraz jednak, trzęsły się niemilosiernie – kurczowo trzymając się skórzanego obicia. Na niebie zachodziło Słońce. Przez ostatnie dwanaście lat pracy, Adrian nie pozwolił sobie na żaden przejaw niekompetencji. Poza paleniem w robocie, był przykładnym pracownikiem. Naprawdę sumiennym. Nie był człowiekiem o wysokiej moralności, ale sztywne, techniczne zasady cenił sobie ponad życie, tak samo jak ich przestrzeganie. A jednak dzisiaj, po tylu latach w zawodzie, dwa martwe pisklaki zbiły goz tropu i rozbiły dobrze rozpracowaną, wręcz machinalną rutynę. Śmierć przychodzi jak domino – jeden zgon prowadzi do następnego, jest to niezmiennie. Proceder ten nie ma początku ani końca. Po prostu trwa, lawirując po kręgu życia i tropiąc tych, którzy trzymają się na

nim jak na włosku.

Mężczyzna puścił kierownicę, co nie uśmierzyło jednak paniki. Wkrótce miał zmierzyć się z popełnioną zbrodnią, być może niecelową, ale jednak zbrodnią. Z tyłu głowy wiedział, że wina leży po jego stronie. Dziś nie skupił się na pracy tak jak powinien, a co za tym idzie, nie uczynił absolutnie niczego w kierunku powstrzymania ewentualnego wypadku.

W końcu, po nieokreślonym czasie wpatrywania się w zmaltretowaną kierownicę, Stalówa zwłókł się z fotelu. Jego nogi były jak z waty. Klatka piersiowa wydawała się nader ciężka. Wyjrzał za szybę, ściemniało się. Zmusił dolne kończyny do współpracy. Kiedy dochodził do przednich drzwi, zrobił coś, co przesądziło o jego dalszym życiu. Mężczyzna spojrzął na puste siedzenia. Autobus był pusty, nie tak jak to czasami bywa, był cholernie pusty. Tak pusty, jak tylko można sobie wyobrazić – i pewnie jeszcze bardziej. Na jednym z tych siedzeń powinna być osoba, której istnienie dogasało teraz pod kołami jego wystuzonego wozu. Jak śmiała go nie zajmować? Może była to skromna, sumienna studentka – w wieku córki, której nigdy nie miał. Albo wytatuowany harleyowiec, któremu wysiadł motor i akurat tego felernego dnia postanowił przejechać się autobusem? Dlaczego do cholery nie przyszedł na przystanek wcześniej? Adrian nie otrzymał odpowiedzi na żadne z tych pytań. Jednego był pewien, z dwojga złego wolałby rozjechać motorowca. Nie chciał myśleć o wizji uśmiercenia młodej dziewczyny, a jednak obrazy same wbijały się w jego głowę – niby gwoździe w trumnie. Zakręciło mu się w głowie. Chwilę później, zwymiotował na jeden z foteli i chwycił się za serce. Teraz choć jedno z miejsc nie było tak zatrważająco puste. Na chwilę zapomniał o rozrywającym uczuciu w klatce piersiowej i ruszył do wyjścia. Jego całe ciało zdawało się ważyć dziesięć razy więcej niż zwykle. Pot leciał mu z czoła strużkami, skóra była niepokojąco blada. Jego oczy drgały. Swoją udział w udręce miał też oddech – w tamtym momencie płytki nawet jak na płuca palacza. Miał jednak zbyt zamgloną percepcję świata aby w pełni przejąć się groźnymi objawami. Ruszył ociężale na pierwszy schodek i runął w drzwi. Wszystko to działo się w przeciągu chwili i przez wiele godzin jednocześnie. O zgrozo, drzwi autobusu rozsunęły się. Próbował utrzymać się na schodach, bezskutecznie. Stalówa wypadł z pojazdu jak opętany, lądując niezgrabnie na chodniku prowadzącym w stronę dworca. Towarzyszył temu tępy huk. W tamtej chwili oddalał się już od własnego ciała, walcząc o każdy oddech.

Zostało mu już tylko jedno do zrobienia. Chciał ujrzeć twarz osoby, którą pozbawił życia. I właśnie wtedy, jego wzrok odmówił współpracy. Nastąpiła ciemność.

Adrian Busz skonał w dziwnym stanie zawieszenia między tą rzeczywistością, a czymś nieznanym, mitycznym. Plama krwi po ptaszatkach otrzymała wielu nowych towarzyszy. Gdyby nerwy twarzy Stalowy nie obumarły, może mógłby spróbować zawołać panią Kaźmierczak. Czy ta jednak usłyszałaby go? Jej słuch nie był dobry, mówiąc eufemistycznie.

Poza tym, na świecie działały się rzeczy o wiele podlejsze niż jego śmierć. Krąg się zamyka.

Ars moriendi

W teatrze miała miejsce zbrodnia. Ten dziwny akt ludzkiej brutalności wobec własnego gatunku to dla współczesnych ludzi bajka stara jak świat. W dzisiejszych czasach taki czyn jest częściej powodem do śmiechu i dobrej rozrywki niż płaczu i oburzenia. I, o ironio losu, śmierć zamordowanego nastąpiła w miejscu, w którym tragedia codziennie przeplata się z komedią, a ludzie uśmiechy zamieniają na łzy – i odwrotnie – co parę godzin, wedle repertuaru. Widocznie przeznaczeniem ofiary musiało być zabawianie publiki. Tak zresztą i zmarł – przy salwach śmiechu i akompaniamencie oklasków podekscytowanych, rozbawionych widzów. Może i w tym cała drwina z jego zawodu: tak dobrze go wykonywał, że nawet jego koniec rozbawił ich do łez, jak dobrze wyreżyserowana scena filmu. Magia teatru, drodzy państwo!

Jednak rzeczywistość była o wiele bardziej przykra. Faktem było przecież, że aktor padł na deski teatru bez ducha na oczach widzów. Niezbitym tego dowodem była czerwona ciecz na dębowej posadzce. I pusty wzrok utkwiony w widownię z rzędami krzeseł. A, i jeszcze pistolet porzucony gdzieś za kulisami – narzędzie zbrodni. Oczywiście, jak to bywa w wypadku takich spraw, zupełnie nieprzydatne dla dochodzenia. Sprawca był zamaskowany, miał rękawiczki i z pewnością nikt nie wpuścił go na zaplecze teatru. A kto mógł go widzieć? Oczywiście jedynie sześćdziesięcioletni dozorca, który świat widzi przez szkła grubsze niż denko słoika. Zbrodnia doskonała. Może nawet idealna, by dokładnie opisać ją dla kolejnych pokoleń – może osiągnięcia przyszlęch rozwikłają zagadkę morderstwa, któremu przyklasnęła blisko setka ludzi.

Zbrodniarz miał w sobie coś z artysty, nie można mu było tego odmówić.

- Przysięgam, panie detektywie, nikogo nie wpuszczałem za kulisy – tłumaczył mi się starsuszek, już po raz trzeci. Jednak coś powstrzymało mnie przed uwierzeniem w jego wersję wydarzeń.

- A gdzie ma pan klucze, panie Woźniak? – zapytałem w kontrze dość sprytnie. Może zbyt brutalnie na moje usta wpęłzył triumfalny uśmiech, gdy starzec szukał po kieszeniach kombinezonu swojej przepustki do wnętrza teatru.

- Były tutaj jeszcze przed chwilą! – zawołał oburzony. – Nie zrobiłem nic złego!

- A jednak ktoś wszedł na ten teren i popełnił zbrodnię. W dodatku z zimną krwią i przy świadkach. To nie sztuka teatralna, to prawdziwa zbrodnia – wyjaśniałem do znużenia, tak jak zrobiłem to już przy tuzinie aktorów, którzy jako pierwsi odkryli wcale nie tak artystyczne zachowanie kolegi.

Ci ludzie aktorstwo mieli we krwi. W innych okolicznościach zapewne byłoby to godne pochwały. Niestety moje słowa o powadze tych wydarzeń dochodziły do nich słabiej niż kwestie w scenariuszu „Romea i Julii” czy „Hamleta”.

Taka myśl właśnie wpadła mi do głowy, gdy zrezygnowany patrzyłem na dość komiczną grupę siedzącą gdzieś w rogu sceny. Mieszanina cudaków, chciałoby się powiedzieć o tych kobietach ubranych w ciężkie suknie i mężczyznach o twarzach wręcz białych od pudru charakteryzatorów. Mimo to mogli być oni pożyteczni nawet w martwym punkcie śledztwa. Wiedziałem jednak, że trzeba było znaleźć z nimi wspólny język, by wykorzystać potencjał drzemiący w świadkach-artystach. Bo przecież świat to teatr, nasze losy to tylko powiązane ze sobą spektakle, a ludzie wokół nas to jedynie aktorzy odgrywający pierwszo- i drugoplanowe role. Śmierć biedaka na scenie też była finałem pewnej sztuki – dość spektakularnym i ponurym, lecz końcem wartym ponownego zobaczenia.

- Przepraszam, proszę pani! – zwróciłem się po dłuższym zastanowieniu do jakiejś młodej dziewczyny przyodzianej w suknię godną damy z osiemnastego, a może nawet dziewiętnastego wieku. – Gdzie stała ofiara w momencie zabójstwa?

- Gdzieś w okolicach tamtej skały i urwiska. – wskazała aktorka, a ja podszedłem do sztucznego kamienia, który z bliska był jedynie jakimś półokrągłym przedmiotem okrytym grubą tkaniną.

- Jak był zwrócony?

- Ku kulisom. Po pana prawej stronie – poinstruowała mnie jeszcze, a za jej plecami utworzył się zaintrygowany tłumek gapiów.

- Dokładnie tyłem do napastnika. Yhm... Zbrodnia doskonała, zdecydowanie! – zachwyciłem się. – Czy mogą odegrać Państwo dokładnie tę samą scenę, w czasie której stracili państwo swojego przyjaciela? Panie Woźniak, proszę wejść za kulisy dokładnie tak, jak wtedy. Proszę kontynuować aż do czasu, kiedy aktor krzyknął i upadł. Potem zatrzymamy się i pozostaniemy w tych samych miejscach.

- A zna pan swoją kwestię, detektywie? – zawołał któryś z aktorów, stając w dramatycznej pozie na środku sceny.

- Tekst dramatu nie jest ważny. Akcja!

Po moim rozkazie, niemalże identycznym jak przy kręceniu filmów akcji, rozpoczęła się magia teatru. Wokół mnie zaczęli kręcić się ludzie, mówili coś, uśmiechali się i byli w tym autentyczni. Falbany sukni okręcały się wokół długich nóg kobiet, a wystawne fraki niby podążały za mężczyznami. Muzyka huczała gdzieś w tle, lecz nie zagłuszała słów rozpaczającego aktora u szczytu sceny. A ja stałem w tym magicznym kręgu przyglądałem się spektaklowi, który, choć uprzednio został przerwany tak nieoczekiwanie, teraz dostał szansę na finałowe zwieńczenie.

Aż w końcu obróciłem się tak, jak wcześniej mi kazano. Przymknąłem oczy, wsłuchując się w kroki i muzykę, aż wreszcie ta ucichła, tak samo jak tupot aktorów. I pewnie nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego i oderwanego od rzeczywistości, gdyby nie jeden dźwięk zaburzający ciszę – huk wydobywający się z broni, dokładnie takiej samej, jak ta, którą dotykałem w rękawiczkach za kulisami.

A potem nastąpiła kolejna niezgodność, która zawróciła mi w głowie. Łoskot przeszedł w echo, które rozbrzmiało nie w ozdobnej sali teatru, a w moim wnętrzu, gdzieś w okolicy żeber.

I padłem na kolana, nie czując swoich rąk, nie łapiąc oddechu. Słyszałem już tylko śmiech – ostatni akt spektaklu. Rozbawieni moim nagłym upadkiem aktorzy, charakteryzatory i dźwiękowcy klasnęli nierówno, lecz żywo. Robili to też, gdy bezradnie runąłem na drewniane podłoże. To właśnie wtedy mój pusty wzrok padł na widownię pełną widzów. I wiedziałem już, że właśnie powtórzyłem scenę, którą chciałem zobaczyć na własne oczy. „Bo przecież świat to teatr, a nasze losy totalnie powiązane ze sobą spektakle, a ludzie wokół nas to jedynie aktorzy odgrywający pierwszo- i drugoplanowe role” – tak powiedziałem zaledwie parę minut wcześniej, a teraz się o tym przekonałem. Tylko ku mojemu nieszczęściu to ja byłem

głównym bohaterem tej sztuki, mojej osobistej tragedii.

Później nie było już nic więcej prócz jednego, jedyne go gestu równającego się z zasunięciem kurtyny:

- Koniec! – wrzasnął niespodziewanie pogłos zdający się być głosem samego teatru, budynku z artystyczną duszą.

Coś szarpnęło moim ciałem i podniosło mnie z ziemi, ciągnąc ku górze jak szmacianą lalkę. Bezwiednie poddałem się tej sile, a po chwili widownia zamieniła się miejscami ze sceną urzekającą nawet z perspektywy lotu ptaka. Następnie zniknęło i drewniane podwyższenie. Nie było już teatru w moim rozumieniu, lecz wciąż znajdowałem się na scenie jako główny bohater. Nie byłem już jednak najważniejszy, nie byłem artystą – nade mną górował człowiek wielkich rozmiarów. Uśmiechał się wesoło, unosząc mnie na poziom swoich oczu. Niewiele widziałem prócz jego poczciwej twarzy staruszka. Jedyne co dostrzegłem to płatanina sznurków w jego lewej dłoni.

Znów rozniósł się huk – tym razem upadła reszta aktorów. Dostojni panowie i piękne panie legli wspólnie na scenie, zupełnie tak, jak przewracają się na koniec dnia kukielki w teatrze dla lalek. Naszła mnie wtedy myśl, czy aby na pewno istniałem kiedykolwiek poza murami teatralnej sali...

Dekada

Jechał pociągiem.

Był zbyt pochłonięty myślami, by zwracać na cokolwiek uwagę. W pewnym momencie zdrzemnął się i ocknął dopiero wtedy, gdy niespodziewanie do jego przedziału wkroczył nienagannie ubrany mężczyzna. Po szybkiej wymianie spojrzeń i kontroli biletów wyszedł, życząc spokojnej podróży.

Vincent westchnął ciężko i przeciągnąwszy się sięgnął po jedną z kryminalnych powieści, którą tak lubił. Choć czytał ją co roku – bowiem stało się to już jego tradycją – nigdy go nie nudziła. A nawet gdyby zaczęła, dopuszczenie do siebie takiej myśli byłoby dla niego nader bolesne. Biorąc ją do ręki, wracał do czasów, gdy z ekscytacją w oczach podbiegała do niego, opowiadając... tak w zasadzie o wszystkim i o niczym...Nigdy nie rozumiał, co ją tak cieszy w tych przewidywalnych kryminałach i właśnie to przez lata próbował zrozumieć.

Przewrócił zniszczoną przez czas żółką kartkę, wkładając w ten ruch wiele subtelności. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nic nie jest na zawsze, ale trwałość zależy przede wszystkim od stosunku do danej rzeczy, dlatego też próbował przedłużyć życie tej jednej powieści. Niektórzy nie rozumieli jego przywiązania, ale to dawało mu dziwne ukojenie, które zaspokajało cierpienie, wewnętrzny ból, z którym trudno było się pogodzić.

Unióśł na moment głowę, spoglądając za szybę. Minęli właśnie las, więc za oknem rozciągał się krajobraz pól. Słońce wstawało z nocnego snu, zabarwiając niebo na odcienie pomarańczy i złota, pszenica kołysała się słabo na wietrze. Jutro pierwszy dzień jesieni. Westchnął i wrócił do czytania. Mimo że słońce lekko go raziło, nie przysłonił rolet.

Zapiął ostatni guzik szarego płaszcza i w tym momencie pociąg

odjechał ze stacji. Patrzył tak chwilę, a potem sam, biorąc małą walizkę, ruszył przed siebie.

Przechodząc przez labirynt tuneli, w końcu natrafił na ogromne schody. Wchodząc po nich, zatrzymał się i obrócił, słysząc delikatny, dziewczęcy śmiech. Kiedy ujrzał źródło dźwięku, z zawodem wymalowanym na twarzy, zaczął stawiać kolejne kroki na długich schodach. Wszystko mu ją przypominało i nic nie potrafił z tym zrobić.

Po jakimś czasie wysiadł z taksówki, zostawiając należytą zapłatę kierowcy. Pojazd zniknęła, skręcając w prawą uliczkę. Przeszedł przez bramę.

Nie wiedział, jak to się dzieje, że pogoda dopisuje za każdym razem, gdy tu przyjeżdża. Takiego dnia jak ten słońce praktycznie nie schodziło z nieba, tylko czasem miało ochotę zagrać w chowanego, chowając się za pojedynczymi chmurkami.

Spacerował pomiędzy grobami, coraz przytykając na sekundę oczy i biorąc głębokie oddechy. Nienawidził TYCH dni, a jednocześnie kochał. Uwielbiał, gdy mógł być blisko Laury, ale emocje wtedy brały górę. Jego ból wychodził na wierzch ponownie i czuł się tak samo jak wtedy, gdy usłyszał natarczywy pisk z sali szpitalnej. Jego cały świat runął, płonął, sypiąc się i niszcząc. Tego dźwięku i słów lekarza nie mógł wyrzucić z głowy przez następne lata. Teraz te wspomnienia ograniczają się przeważnie do tego jedyne go dnia, choć i tak potrzebuje czasu, by emocje opadły i znów wrócić do rzeczywistości, jaka by ona nie była.

Po około piętnastu minutach w labiryncie cmentarnych ścieżek udało mu się odnaleźć jej nagrobek.

- Przyszedłem – wymówił te słowa z nieskrywaną delikatnością i położył kwiaty, takie których zapach uwielbiała. – Siostrzyczko.

Usiadł na drewnianej ławeczce obok i, spoglądając na zdjęcie siostry, westchnął, chowając twarz w dłoniach. Bezgłośnie załkał. Po paru minutach podniósł głowę. Na policzku aż po brodę na jego twarzy były zauważalne kręte ścieżki wyrzeźbione przez łzy.

- I znowu tu jesteśmy – Vincent zaśmiał się cicho podnosem.

Nie był to jednak do końca radosny śmiech, który świadczyłby o możliwości spotkania się z siostrą, bo w większości przepelniał go żal i uczucie bezsilności. Przymknął powieki i odchylił się lekko, dając słońcu muskać

jego twarz. W tej samej chwili przypomniał sobie sytuację sprzed lat. I znów przeżył ją na nowo.

Nagle Laura sięga ręką pod bluzę i wyciąga z niej zawiniątko. Mały skórzany notesik i czarny pendrive.

- Proszę... Opublikuj to – mówi, podając rzeczy. – Doskonale wiesz, że zawsze chciałam móc dzielić się z innymi moimi uczuciami. A najlepszą drogą do tego jest sztuka. Tak więc, są tu moje wiersze...

- Sama je opublikujesz – wtrąca. – Napisałaś dużo, ale napiszesz jeszcze więcej...

- Nie chcę się z tobą kłócić, Vincent – wstaje z ławki. – Proszę cię, zrób to dla mnie... Uznaj, że to jest moje... życzenie... przed śmiercią.

Uniósł powieki i sięgnął do swojej malutkiej walizeczki, wyjmując czarny notes. Otworzył na zaznaczonym fragmencie i przypominał go sobie w całkowitej ciszy. Na cmentarzu panował spokój. Nie było słyhać rozmów, modlitw, a nawet ogrodników pielęgnujących bogatą roślinność tego miejsca. Szybko jednak zamknął notatnik.

- Wiesz... – zaczął – spełniłem twoją prośbę. Odetchnął głęboko i kontynuował.

- Dzisiaj zadzwonili do mnie z wydawnictwa. I dokładnie tak jak wcześniejsze prace opublikują i tę. Udało mi się, choć szczerze powiem, nie było łatwo – zaśmiał się.

- Z wiadomych względów – dodał, a jego twarz posmutniała. – Zrobię wszystko, by twoje prace osiągnęły sukces. By ludzie o nich słyszeli. Bo to – uniósł zeszyt – ... to, co tu zrobiłaś, jest tego warte. Masz ogromny talent, siostrzyczko.

Przyłożył dłoń do grobu i kolejna łza popłynęła po jego policzku. Starł ją natychmiast ramieniem i sięgnął do otwartej walizeczki, odkładając notatnik i biorąc czytnik.

- To co? Gotowa na naszą coroczną tradycję z czytaniem? – zapytał czysto retorycznie. – Wiem, że uwielbiałaś twórczość Wandy Dobaczewskiej. Sam trochę przeszukałem różne źródła i już wiem, dlaczego. Ta kobieta, moim zdaniem, była wybitna. Tyle doświadczyła, a jej osiągnięcia z pewnością jeszcze nieraz będą wspomniane. Na długo zapadnie mi w pamięć powieść Kobiety z Ravensbrück... – urwał. – Dzisiaj chciałbym przeczytać coś, co już kiedyś cię urzekło. Pamiętasz tomik poetycki, którym zadebiutowała? Na chwałę słońca? Z pewnością. Ale mimo to odświeżymy nieco te czasy. Tylko

tym razem to ja będę ci czytał.

Potań skronie i jakby się nad czymś zastanawiając, smutnym spojrzeniem patrzył w dal. Odetchnął głęboko i zaczął.

- A więc – odchrząknął.

I tak przez następne parę godzin czytał o tym, ile zawdzięczamy słońcu. Każdego ranka, gdy tylko zza horyzontu wyjdą pierwsze promienie, zaczyna swoim złotym blaskiem rozbudzać naturę. Puka w zamknięte płatki jeszcze sennych kwiatów, żeby mogły uwodzić swoim zachwycającym zapachem. Spływając ze źdźbeł trawy perłową rosę obdarza gamą kolorów. Przepędzając sen, przywołuje stado motyli do tańca i zachęca ptaki do śpiewu. Bo to właśnie dzięki niemu każdy najmniejszy element tego świata staje się piękniejszym.

Kiedy skończył, słońce zdążyło już dawno zająć. Niebo pojaśniało od tysiąca, a w zasadzie milionów migoczących gwiazd. Księżyc dzisiaj prezentował się w całej swej okazałości. Jego jasna, biała kula zdawała się oświetlać każdy ciemniejszy kąt.

Ten widok przywołał Vincentowi wspomnienia, kiedy to z Laurą wykradał się z domu dziadków oglądać nocne niebo. Jego malutka siostrzyczka uwielbiała je oglądać. Całe życie było jeszcze przed nią, nawet nie stała się w pełni dorosła, a już zniknęła.

Mężczyzna otarł łzy. Wstał i złapał za walizkę. Nie był szczególnie religijny, mimo to postanowił się przeżegnać. Ona wierzyła...

- Do zobaczenia, siostrzyczko – ostatni raz dotknął grobu z jej zdjęciem.

Wstał z klęczek i ruszył przed siebie, w stronę wyjścia. Całą drogę przemierzył, myśląc o Laurze. Tęsknił za nią i to bardzo. Wychodząc, ostatni raz zwrócił się w stronę cmentarza. Spojrzał w niebo, po którym przeleciała samotna, srebrzysta gwiazda. Odszedł i wróci tu za kolejny rok... Tak jak wracał przez ostatnie dziesięć lat.

I tak nikt by nie czytał

„Mściwa, pamiętliwa i okrutna. Taka jestem według ludzi. I taka jestem według niejednego boga, który jednak, w mojej obecności, nie odważyłby się nigdy powiedzieć o tym głośno. A wszyscy oni starają się, za wszelką cenę nie otworzyć oczu trochę szerzej, aby tylko nie spostrzec przypadkiem, że i ja mam swoją perspektywę. Dość mam już milczenia i głuchych krzyków. Jestem Hera, padł na mnie nie jeden już wyrok, a teraz czas, bym zaczęła mówić.

Słyszac „Hera”, wielu myśli o zimnej kobiecie. Bezwzględnej mścicielce eliminującej rywalki jedna po drugiej. W czasach, których żaden człowiek nie jest w stanie pamiętać, a i niewielu bogów jest na tyle wiekowych, świat był innym miejscem. Planetą wojen próbującą odnaleźć pokój i równowagę. I my byliśmy inni. Młodzi, pełni nadziei na szczęście czyste i nieskazitelne. Przez lata ludzie usnuli sobie wizję, że to ja, zakochana w Zeusie, podstępem zamknęłam go w klatce, jaką musi być dla niego małżeństwo. W rzeczywistości, ja sama nigdy nie zwracałam na niego uwagi. To on pokochał mnie pierwszy. Aby zdobyć moje, obojętne na jego zaloty, serce, starał się niekrótco. Pamiętam dokładnie chłodny wieczór, kiedy to, przechadzając się po ziemi, znalazłam w trawie zziębniętą kukułkę. Stworzenie bezbronne i żalosne do bólu. Czasem odtwarzam sobie w głowie ten dzień. Staram się potrafić wciąż czuć to, co czułam wtedy. Żyła ona tylko dzięki ciepłu, jakie jej dawałam. Tylko dzięki mnie i tylko dla mnie. Takiej miłości pragnęła moja dusza i na taką liczyła z naiwnością typową dzieciom. Gdy w pewnym momencie stało się jasne, że przestałam być dla niego wystarczającą, nie mogłam już udawać, że nie widzę. Wszyscy widzieli. Każda jego zdrada udawiała mi, raz za razem, że nie jestem godna kochania. W teorii kochanek, w rzeczywistości niespostrzeżenie stał się jedynie współlokatorem. Za każdym razem, kiedy spoglądałam w lustro, zadaję sobie pytanie: „Co jest ze mną nie tak?”. I każdego dnia, znajduję coraz

więcej odpowiedzi. Chcę widzieć w sobie piękno, ale kiedy cały świat krzyczy, jak uwierzyć tłumionemu od lat szeptowi?

Głos tłumu – tak niedoceniany, a przy tym tak niszczący. W każdym, po czasie, potrafi zasiać ziarno niepewności, które ma to do siebie, że kiełkuje najszybciej ze wszelkich roślin. Mój własny mąż, on sam nie wierzy, że w naszych dzieciach, jest jego częśćka. Niektórzy bogowie żartują czasem, że jestem jedną z niewielu, z którymi bóg bogów nigdy nie począł potomka. Kropla draży skałę, a ta niekończąca się nigdy ulewa nieufności zdążyła rozkruszyć moje serce już wiele lat temu. Złość wylewam na kochanki i dzieci, choć wiem przecież, że niczym nie zawiniły. Mimo to świadomość, że gdy ja naiwnie czekałam na niego, to one dostawały miłość, której tak pragnę, od kiedy ogień, który był kiedyś między nami, zgasł, pcha mnie do niezasłużonej zemsty. Jestem bezradna, kiedy chodzi o tego, który rzeczywiście jest winien. Co ja mogę w obliczu wielkości Zeusa, boga niewzbudzającego podziwu tylko w głupich? Każde słowo sprzeciwu, niezgody z losem, który mnie spotkał, odebrany jest jako histeria przez wszystkich wokół. A kiedy świat twierdzi, że odeszłaś od zmysłów, jedyną opcją jest popaść w otchłań szaleństwa.

Nie chcę się tłumaczyć – czyniłam źle. Chcę tylko pokazać wszystkim sędziom cudzych losów, chodzących pod niebem, że ich sądy nie są, jak myślą, jedynie ich sądami. Nawet boginię, na cześć której wznosi się pomniki, te słowa, ciężkie jak kamienie, w końcu złamią. Chcę sprawić, że słuchając historii, zastanowi się ktoś, jak wygląda ona z tej drugiej strony. Bo każda historia ma dwie strony.”

Hera wstała. Odłożyła pióro na marmurowe biurko i zacisnęła mocno zęby. Otworzyła szufladę i schowała do niej wszystkie myśli.

- W końcu i tak nikt by nie czytał – pomyślała.



*Utwory związane
z Wandą Niedziałkowską-Dobaczewską*

W dziedzinie poezji:

Jędrzej Kozak – godło: Anturium

Gdy pień drzewa umiera, stojąc, pozbawiony soków
I gdy noc, jak gliniany Golem, nad domami wzrasta,
W snach oddawałem czarne ptaszyska uroków
Łaskawym, czułym dłoniom magicznego miasta.
Budziłem się o świcie, karmazynem słońca chrzczony
I lżej mi było z kamieniem serca dźwiganym dzień cały.
Z krzywych uśmiechów i spojrzeń na chwilę uleczony
Szedłem nad Wilię, żeby jej pieśni całego mnie otułały,
Bo rzeka to przedziwna, tak jak przedziwne jest Wilno,
Które niestrudzenie potrafi jaśnieć dobrocią niepojętą,
Zmęczoną, spękaną skorupę ciała czyni na powrót silną
I każdą ścieżkę życia prostuje, choćby najbardziej krętą.

Najwyższy już czas, znów najwyższa już pora
Otworzyć oczu szmaragdy jak trockie jeziora,
Pozwolić przepływać przez nie chwilom nowego dnia
Modląc się, by jeszcze ich nie okryła wiekuista mgła.

Wstążkę przyjaznych myśli snuć przez dnia meandry
Jak nurt Willi, którego mruczenie uwalnia od chandry,
Wśród mogił na Rossie zatopić się w czas zatrzymany,
Świeczką pamięci rozjaśnić przeszłością porosłe kurhany.

Przemykać, jak wiatr wiosenny, przez zaułki i uliczki kręte,
Których piękno otwiera serca nawet najbardziej zamknięte,
Karmić się słońcem, albowiem ono zawsze inaczej tu świeci
Zatrzymując czas, który od zarania jak ptak rozpędzony leci.

Artur Paprocki – godło: ArturKwiecien

Niebo nad Ravensbrück

Najgorsze, że nie można patrzeć w niebo bezustannie,
że nie można się tak po prostu oderwać,
od tego gdzie się jest... na zawsze,
ale tylko na chwilę, i tylko przez chwilę jest to piękne,
dopóki nie trzeba wracać, dopóki jesteś tylko Ty, niebo i ja.

Szkoda, że od patrzenia w niebo, nie zmieni się los,
że jak tylko stracę to niebo sprzed oczu,
to stracę też wiarę, nadzieję i miłość. Stracę Ciebie.
Chciałabym odjechać stąd patrząc w niebo.

Zakładam czarne okulary,
coraz słabsze poczucie własnego ja,
już mogę patrzeć ludziom w oczy,
już mogę patrzeć prosto w słońce.

Kładę rękę na siedzeniu obok.
Zmęczyłam się wyobrażaniem, że ktoś tam jest.
Wciąż za dużo czuję, wciąż za dużo wiem,
by *nic* mogło mnie nie spotkać.

Beata Sylwia Jopek – godło: R. WAR

Na chwałę słońca!

O na chwałę wielkiego słońca!
Co się dla mnie rozlało po niebie
Promieniem ciesząc obłoki
Na pochwalenie jemu ogromnemu!
Co by przy mnie gorało
Życie dając nowemu światu
Witaj Nowa Matko!
Witaj zrodzona w nim Polsko!

Za Ostrą bramą

Za Ostrą bramą schowałam
Kawałek płaszcza który kłuje w oczy
Choć szary i pas przywiązany
Jak ręce do tego życia
Rzucam spojrzenie za nim
Niósł skrzypce a włosy jego
Jak karty rozwiane co w nich...
Zapisał swoje życie
Dzisiaj go zamknę w pugilares
By oni nie zamknęli drzwi za nim.

Nasza dola

Nasza dola nie była nam lekką
Nie dała też chwili wytchnienia
Każdy dzień żegnaliśmy ręką
Łzę i pieśnią jako przyjaciela

Nasza niedola na polach i lasach
Rosła wraz z nami trawą i zbożem
Płonęła ogniem topiła wodą
I ulatała z dymem nad grobem

Nasza ta dola stała się poezją
Historią zdrajców, zwyciężonych, zdradzonych
Nie było nam dane poznać co to pokój
O ciepłych jasnych ścianach z ikoną

Nasza niedola coś my ją ciągli do końca
Jednego nigdy nie odebrała nam kwiatu
I żeśmy Honor jak to życie donieśli
Na chwałę Bogu, ojcu, matce oraz światu.

Kacper Adamczyk – godło: Zima

Poetka

Siwe włosy smugane słońcem,
Przyjazne oczy patrzące dalej niż każdy z nas,
Okulary na nosie świadczące o dojrzałości umysłu
i ten cudowny uśmiech, szczery i ciepły.

To nie moja babcia, to poetka,
co budzi zachwytem przez lata.
Sercem związana z nami, z naszą małą ojczyzną
patronka naszej szkoły.

Martyna Bączik – godło: Chaber

Pałuki

Tak jak Polska długa i szeroka,
Każdy szuka w mgnieniu oka
Piękną i wspaniałą krainę,
Co przyciąga serce młodej dziewczyny.
Mi najbliższa jest ta trawiasta nizina,
Co od „łuku” historię Pałuk zaczyna.
Kraina ta piękna i wspaniała,
Co w dziejach się zapisała...
Już dawno temu niejedna osoba się przekonała,
Która na Pałukach osiadła i zamieszkała,
Jak tu sielsko i anielsko.
Cuda natury w niejednym miejscu...
U nas gościnność jest nieprzeciętna
Zawsze i wszędzie, nie tylko od święta...
Swoje odświętne stroje i tańce Pałuki mają,
Co uwagę człowieka mocno przykuwają.
Jeśli jeszcze u nas nie byłeś,
Pakuj swój plecak i ruszaj w drogę,
Przeżyj na Pałukach wspaniałą przygodę!

W dziedzinie prozy:

Agnieszka Lis – godło: Pomarańcze

Na chwałę słońca

Czerwona kula słoneczna, zimna i bezpromienna, staczała się zwolna gdzieś za przedmieścia. Mroźne mgły snuły się po parkach i ulicach, sinymi smużkami przeplatały gałęzie starych drzew w ogrodach, czepiały się dymów miejskich, utrudniały lot wronom, wracającym do okolicznych lasów na noclegi.

Lekko zgarbiona kobieta, której twarz sugerowała niegdysiejszą urodę szła powoli chodnikiem, sprawiając wrażenie, że chowa się pośród zalegających już gdzieniegdzie wieczornych cieni. Jej postać okrywała siwa suknia, stapiająca się z równie szarymi włosami. Na tle kamienic stawała się niewidoczna, jakby tańczyła na czarodziejskich nitkach, znikając i pojawiając się zniemacka.

Nie miała w sobie jednak nic czarodziejskiego. Ot, starsza kobieta w ciemnych okularach, pomięta niczym zużyty papier pakowy i szurająca lekko przykurzonymi butami po miejskim chodniku, która sunie w stronę zachodzącego słońca bezrefleksyjnie niczym łacha piachu niesionego wiatrem.

Niezbędnym byłoby podejść do niej, by usłyszeć, że kobieta mamrocze.

*Jakoś szaro, jakoś pusto, jakoś nudno,
choć życie przyśpieszonym niby tętnem drga.*

Niby tłumno na ulicach, a bezludno,

bo twarz każda, choć znajoma, a nie ta – szeptała szara niewiasta.

Nikt jednak nie podszedł by jej posłuchać, bo też i nikogo nie interesowała. Ot, szara kobieta w szarej sukni na tle szarych murów. W końcu weszła na niewielkie wzniesienie, gdzie kończyła się ulica, miejskie kamienice, a nawet i znany świat. Okolicę zalało światło, rozżarzone czerwienią niczym z kowalskiego pieca, nagle wyłoniło się zza ostatniego budynku, bezwstydnie rześiste, docierające do samego sedna człowieczego

istnienia.

Kobieta zatrzymała się i patrzyła w zachwycie. Nie była już szara. Ciemne oczy nabrały blasku, włosy zachwyciły gęstym skrętem, a ciemna suknia okazała się płaszczem, spod którego wystawała kraciasta spódnica. Postać zdawała się wyższa niż przed kilkoma minutami. Wyciągnęła w górę głowę, a po chwili zdjęła płaszcz, zwinęła w kostkę i delikatnie ułożyła na chodniku. Gdyby ktoś patrzył, na odkrytym przedramieniu dostrzegłby tatuaż, wąski i lekko wyblakły ciąg cyfr, które nigdy nie zatrą się całkowicie. Kobieta wciąż szeptała uśmiechając się do siebie, przymykała oczy, wystawiając twarz do zachodzącego słońca. Cała była zachwytem, może dzięki temu właśnie stała się piękna? A nie była taka przed chwilą?

Wyczekała momentu, gdy kula dotknęła horyzontu i westchnęła głęboko. Z jej ust wydobył się jakby świst, a może to było łkanie? Tylko bardzo uważny obserwator mógłby dostrzec, że kobieta się śmiała. Czy jednak był gdzieś taki w pobliżu?

Gdy słońce znikło, pozostawiając po sobie gasnącą pomarańczową różowość kobieta schyliła się po płaszcz. Narzuciła go na ramiona, po czym wzniosła dłonie do twarzy, złożyła je przed ustami i stała tak niczym posąg świętej wznoszącej modły do Najwyższego. A może rzeczywiście się modliła? Szeptała cały czas, usta poruszały się w nieregularnym rytmie, w niesłyszalnej dla postronnych recytacji, niczym współczesna wersja Homera.

Światło całkiem już zgasło, gdy odwróciła się i wolnym krokiem wróciła między zabudowania. Wciąż była wysoka, postawna, uroda była dzisiejsza, nie miniona, a stopy stawały równe, choć powolne kroki, pozbawione starczego szurania.

- Ze spaceru, pani Wando? – zagadnął przechodzień. Raptem okazało się, że wokół są ludzie. Jakby ktoś wyjął ich ze schowka i kazał nadrobić czas ukrycia. Śpieszyli się, rozmawiali wesoło, witali, żegnali, żyli.

- Czas już najwyższy – odparła kobieta z uśmiechem. Głos miała czysty i radosny, choć odrobinę zmęczony, niczym pensjonarka po znojnym dniu recytowania szkolnych formułek. To w końcu była stara, zgarbiona i zmęczona czy młoda, postawna i radosna? Nie sposóbbyło ocenić.

- Jutro mają przywieźć pomarańcze – powiedział przechodzień. – Moja Mańka stanie w kolejce po szóstej, przyjdzie pani, to i dla wnuków się kupi.

- A przyjdę – odpowiedziała kobieta. – Przyjdę. Dziękuję, i dobranoc.

- A dobranoc, dobranoc – odpowiedział już odchodząc. Kobieta ruszyła

przed siebie wciąż się uśmiechając, nie mamrotała już jednak. Odpowiadała na powitania, zamieniała kurtuazyjne kilka zdań, życzyła dobrej nocy – jak każda dobrze wychowana mieszkanka niewielkiego miasteczka gdzieś w Polsce albo zupełnie gdzie indziej. Może to być Żnin, albo inna miejscowość, to zależy od wyobraźni czytającego. I tak szła wśród ludzi kobieta o imieniu Wanda, ale teraz już nie przypominała zwiniętej kuli pakowego papieru, nie zlewała się z murami kamienic, tylko odcinała wyraźnie na ich tle.

Stare zaułki, stare kamienice...

wilgotną pleśnią porośnięte mury...

w dziwacznych skrętach biegnące ulice...

Szeptła do siebie, uśmiechając się. Śpieszyła się, by zapisać strofy w niewielkim kajecie w zielonej okładce. By nie umknęły pamięci, której zdarzało się już płątać figle i zamieniać miejscami słowa, a nawet chować czasem ulubione przedmioty. Przestała zatem odpowiadać na powitania, przyspieszyła też kroku, aż płaszcz opadł z jednego ramienia i musiała zatrzymać się, by włożyć obie ręce w rękawy, które jak na złość postanowiły się zaplątać.

- Jesteś nareszcie – powiedział młody mężczyzna, gdy Wanda dotarła do mieszkania. – Denerwowałem się.

- Synku – uśmiechnęła się ciepło.

- Zawsze wychodzisz tak bez słowa, znikasz, jakbyś nas zupełnie nie potrzebowała...

Chwyliła syna za rękę i pokręciła głową. – To zupełnie nie tak – odpowiedziała delikatnie. – Potrzebuję. Tak jak słońca, które rozrywa horyzont swoją okrągłością codziennie wydaje mi się, że w końcu ziemia pęknie pod jego naporem, a czerwień rozleje się wokół i ogarnie nas wielką szczęśliwość...

- Coś pięknego dzisiaj napisałaś, prawda? – domyślił się mężczyzna.

Kiwnęła głową, a on już nie zatrzymywał jej w przejściu. Pomógł zdjąć płaszcz, złapał jeszcze na chwilę za nerwowo drżące dłonie, uściśnął. Wanda zdawała się tego nie dostrzegać, jakby już czuła w dłoniach ołówek, już słyszała jego skrzywienie na chropowatym papierze. Szybkim krokiem przeszła do swojego pokoju, niewielkiej klitki z równie małym biurkiem, w którego szufladach w idealnym porządku leżały zapisane drobnym równym pismem arkusze papieru.

Gdy znikła w tym pomieszczeniu, nie było sensu wołać jej na kolację.

- Mama przyjdzie, jak skończy – powiedział młody mężczyzna do swojej żony, która nie lubiła twórczych napadów teściowej. Czuli się wtedy taka zwyczajna, codzienna, zupełnie nieromantyczna. Można konkurować z matką męża, ba! – każda młoda żona to przeżywa i każda wygrywa. Jednak... Ta kobieta nie potrafiła rywalizować, a już tym bardziej wygrywać ze słowami teściowej, które układały się w wersy i strofy poruszające do najostatniejszej cząstki duszy.

Zasiedli zatem do kolacji, a Wanda dołączyła, gdy na stole zostały zaledwie dwie ostatnie kromki chleba i odrobina sera.

- Cudownie – powiedziała przybyła. – Marzyłam o kawałku sera. A jutro do sklepu przywiozą pomarańcze. Stanę w kolejce.

Przynajmniej na coś się przyda – pomyślała synowa, nieodezwała się jednak ani słowem. Syn za to zbył pomarańcze, zapytał za to, całkiem wbrew intencjom żony:

- A co, mam, dziś napisałaś?

I równie wbrew intencjom młodej kobiety Wanda z uśmiechem przetarła blat stołu dłonią, strącając na podłogę okruszki, wyciągnęła z przepastnej kieszeni, a potem rozłożyła przed sobą zeszytek w zielonej okładce i z atencją przeczytała:

*W jakiś dzień, deszczem zalany
i mgłami przejęty srodze,
koślawy Chrystus drewniany,
zlażł sobie z krzyża przy drodze.*

Syn wciągnął głośno powietrze i żona nie miała wątpliwości, że był to wyraz zachwytu. Powiedziała zatem głośno, zanim ktokolwiek zdołał cokolwiek skomentować:

- Mama nie pisze takich rzeczy. Chrystus? Jeszcze do więzienia nas pozamykają za takie gadanie. Niech mama lepiej pójdzie spać, bo te pomarańcze to wcześniej rano przywiozą. Żeby mama nie zasnęła do tej kolejki.

W tekście wykorzystano fragmenty prozy i poezji Wandy Dobaczewskiej: Pierwszy akapit jest trawestacją pierwszego akapitu powieści „Tam, gdzie się serca palą” (cytat nie jest dosłowny, zmiany zostały wprowadzone by dopasować cytat do niniejszej nowelki), Fragment tryptyku „Wilno”,

*Fragment z tomiku poetyckiego „Wilno” z 1922 r.,
Fragment wiersza „Spowiedź”.*

Tęsknota

Nie jest łatwo być malarzem na dorobku. Mam niby swoją małą galerię, wystawiam tam nawet parę obrazów, ale nie ma popytu na taki rodzaj sztuki. Od czasu do czasu przyjdzie na przykład para świeżo po ślubie, która chciałaby urozmaicić swój salon, wieszając na ścianie ładny krajobraz. „Jakieś góry, jakaś rzeczka i najlepiej po kosztach” – takie wymagania nie należą do rzadkości.

Ostatnio jednak w mojej galerii pojawił się ktoś inny niż zwykle. Próg przekroczyła zadbana starsza pani o siwych włosach. Krok już nie taki szybki jak pewnie w młodości, lecz energii w głosie mogłaby jej pozazdrościć niejedna dwudziestolatka.

- Dzień dobry! – przywitała się.
- Dzień dobry. W czym mogę pomóc?
- Chodzi o Wandę Dobaczewską.

Podane nazwisko nic mi nie mówiło, więc szybko i dyskretnie wpisałem je do wyszukiwarki. „Pisarka” – zobaczyłem tylko kątem oka i wróciłem do rozmowy.

- Ok, jakich rozmiarów ma być ten portret?
- To nie ma być portret. Chodzi mi o obraz, na którym przedstawiłby pan twórczość Wandy Dobaczewskiej.

„Aha, czyli poziom trudności wzrasta” – pomyślałem. Poprosiłem tajemniczą klientkę o to, żeby dała mi czas na ułożenie sobie tego w głowie.

- Może pani przyjść za tydzień?
- Nie ma problemu. Jeśli chodzi o cenę, niech pan się nie martwi. Zapłacę, ile będzie trzeba.

Taka deklaracja dla mnie jako malarza na dorobku podziałała niezwykle motywująco. Postanowiłem zaznajomić się z twórczością Dobaczewskiej, chociaż już pierwszy rzut oka na długą listę utworów pokazał, że będzie to trudne zadanie.

„Dlaczego akurat ona?” – myślałem. Gdybym musiał namalować twórczość Sapkowskiego, byłoby prościej: wiedźmin na środku, dookoła potwory i po problemie. Nawet z Tolkienem jakoś bym sobie poradził, bo nie jest trudno umieścić na obrazie paru hobbitów, elfów i krasnoludów oraz pierścienie wokół nich. Ale zamiast tego trafiło się zlecenie z gatunku tych niewykonalnych i właśnie taką informację przekazałem klientce po tygodniu.

- Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że nie uda mi się tego dla pani zrobić. Zapoznałem się z twórczością Dobaczewskiej i według mnie, nie da się zmieścić wszystkiego na jednym obrazie, nawet jeśli miałby on długość „Bitwy pod Raclawicami”.

- A co w takim razie chciał pan tam zmieścić? – zapytała kobieta.

- Chyba raczej „kogo”. Na pewno Emilię Plater reprezentującą „Rycerki polskie”, Rusałkę z „Na chwałę słońca” czy Adama Mickiewicza z „Tam gdzie się serca palą”. Musiałyby też być współwięźniarki z „Kobiet z Ravensbrück”. Przydałby się również Nałęcz z „Człowieka, którego nazywano diabłem” czy Marysia z „Nikt nie jest winien”. No i może jeszcze ewentualnie bohaterowie powieści „Kim jest Rudzielec?”. Więc sama pani widzi, że albo musiałbym ich mocno ścisnąć i wyszłaby nieudolna kopia „Bitwy pod Grunwaldem”, albo trzeba będzie porzucić ten temat.

- Chyba się nie zrozumieliśmy. Nie chodziło mi o przedstawienie jak największej liczby postaci z jej utworów. Miałam na myśli pokazanie jakby esencji z całej twórczości.

W normalnych okolicznościach być może bym już odpuścił, jednak perspektywa dużego zarobku okazała się zbyt kusząca, więc postanowiłem wrócić do dyskusji:

- Ale moim zdaniem, trudno wydobyć taką esencję. Gdyby na przykład miała pani określić jej twórczość za pomocą jednego słowa, byłaby pani w stanie?

- Tęsknota.

Nie ukrywam, że trochę się zdziwiłem. Nie spodziewałem się tak szybkiej i precyzyjnej odpowiedzi. Rozmówczyni zapewne zauważyła to zdziwienie na mojej twarzy, więc kontynuowała:

- Tęsknota za przyrodą, której piękno nie było zakłócone przez człowieka. Tęsknota za XIX-wiecznymi bohaterami, walczącymi bronią i piórem. Ale też tęsknota za wolnością podczas pobytu w obozie.

I wtedy nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Miałem już w głowie gotowy obraz. Wyobraziłem sobie starszą kobietę stylizowaną na moją klientkę i patrzącą przez okno, a za szybą – storczyki, lilie, lipy i inna roślinność z tomiku „Na chwałę słońca” jako przykład tego, co bezpowrotnie minęło. Wizja ta została następnie przeze mnie przelana na płótno i wręczona tajemniczej zleceniobiorczyni.

- Dziękuję panu bardzo – powiedziała miesiąc później, gdy odbierała obraz – Dokładnie o to mi chodziło. Zasłużył pan na sowite wynagrodzenie.

I dzięki temu – a właściwie dzięki Wandzie Dobaczewskiej – przynajmniej przez chwilę mogłem być kimś więcej niż tylko malarzem na dorobku...

Na chwałę słońca

- Wando, Wandeczko chodź szybciej, bo się spóźnimy!

- Zaczekaj chwilkę Halusiu. Wilno tak piękne dzisiaj – odpowiedziała Wanda i dodała z wielką emfazą: „*O, Wilno moje! twój czar niezwalczony, łańcuchem złotym przykuwa do ciebie! A komu przyjdzie w dalekie iść strony, ten widzi słońce blednące na niebie!*”

Obie siostry uśmiechnęły się do siebie i powiodły wzrokiem tam, gdzie rozpościerał się widok na „*wąskie oparkanione zaułki wijące się w niczem nieusprawiedliwionych skrętach pomiędzy Katedrą i Bulwarami nad Wilią, aż hen, ku Łukiszkom. (...) kościół świętego Jerzego dźwigał się mocno ku niebu ze swego pagórka*”.

- Nie zwlekaj, będzie nieładnie jeśli pozwolimy wszystkim czekać na nas. Zwłaszcza w wieczór Andrzejkowy. Ale masz rację. Wilno nadzwyczaj jest piękne.

Dziewczęta przyspieszyły kroku. Minęły Bramę Zamkową i Wieżę Zegarową Uniwersytetu. Chwilę później przeszły przez bramę i szybko weszły po schodach. Wanda zapukała do drzwi na których wizytówka głosiła, że mieszkają tu Państwo Łuczkowie, a Pan Domu jest rotmistrzem. Po chwili otworzyła im stara służąca, która powitała je słowami:

- Dobry wieczór pannom poetkom

- Dobry wieczór Czesiu – odpowiedziały równocześnie.

- Witajcie Moje Drogie. I szybko chodźcie do środka – w hallu pojawiła się Aniela Łuczkówna. – Wszystkie zaproszone dziewczęta z gimnazjum Pani Prozorowej już są. Wisława i Mika aż dwa razy pytały o was. I Krystynka, a Zosia to chyba zwątpiła w wasze przyjście. Mama z Papą i Olesiem wyszli odwiedzić Pana Teodora. Będą tam także wasi bracia Miecio, Jurek i Janek, jako przedstawiciele rodziny Niedziałkowskich oraz jakiś pan Eugeniusz, podobno chce zostać lekarzem. Chyba okulistą. Kawalerowie powrózyli sobie w Katarzynki. Więc już wiedzą, co ich czeka. Teraz na nas pora. Jesteśmy same z Nianią, która pozwoliła nam na swawole

– mówiąc to wszystko z szybkością śnieżnej zawiei Aniela wprowadziła przyjaciółki do salonu.

- Wando, Halinko, tak dobrze że jesteście – zgromadzone przy świątecznej zabawie dziewczęta podeszły do swych przyjaciółek i serdecznie się z nimi przywitały.

- Bez was byłoby nie tak wesoło – powiedziała Krystyna, ciemna blondynka o niebieskich oczach. – Chociaż śmiechu było co nie miara, podczas wyścigu pantofelków. Potem był rzut: obierzyną i trzewikami a także monetą. Posiałyśmy ziarna lnu i konopi. Sprawdzałyśmy komu przypadną: liścik, kostka cukru i różaniec...

- Tak. Szkoda że nie przyszliście wcześniej, bo my już nawet ustawiałyśmy po cztery filizanki i kreśliłyśmy imiona na papierowych sercach – powtórzyła za Krysią Zdzisia, która nigdy nie umiała nic zrobić sama.

- Właśnie skończyłyśmy lać wosk. Zostało go jednak trochę dla was – to mówiąc Krysia podała Halince rondelek z roztopionym woskiem i stary klucz z dużym uszkiem. – Tak, tak musisz koniecznie zobaczyć co cień Ci powie.

- Tak, tak – wtórowała jej Zdzisia.

- Ale największa atrakcja dzisiejszego wieczoru wciąż czeka na wszystkich! – powiedziała Krystyna i zaklasnęła w dłonie.

- To jeszcze coś będzie? – zdziwiła się Janka.

- To niespodzianka – odpowiedziała Krysia, ale lepiej jak powie wam to sama Aniela.

- Zatem już wszystkie wiecie, że przygotowałam siurpryzę. – podjęła Aniela. - Otóż kiedy wracałam znad Wili i spostrzegłam wozy cygańskie. Przy jednym z nich stała stareńka, półślepa kabalarka. Zarzekła się w niebogłose, że pradziad jej stryjeczny uczył się sztuki z prorocत्व samego Wernyhory.

- Och!.... – okrzyki zdziwienia wyrwały się z ust wszystkich zgromadzonych.

- Nie wiem czy to prawda, lecz Cyganka jest tutaj. Czeką w alkowie przy kuchni. Zgodziła się dzisiaj każdej przybyłej powróżyć. O ile rzecz jasna chcecie... - speszona zapadła ciszą Aniela umilkła.

Fela wyjęła z wazonu bladą kiść roślinną niczym „białą margerytkę i oskubywała płateczki na wróżbę: *kocha – nie kocha*”.

- Tak. Ja chcę być pierwsza – zawołała Wanda i skierowała się w stronę kuchni. Za nią zaczęła podążać kolejka ciekawych swej przyszłości dziewcząt.

- Święty Andrzej ukaże, co los przyniesie w darze – przypomniała stare przysłowie Wisława.

- Męża, męża, Ach, może być garbaty i o jednym oku, byleby jeszcze w tym roku – zapiszczała rozochociona Mika, która jak zwykle zazdrościła wszystkiego wszystkim.

- Może lepiej wszystkiego nie wiedzieć – szepnęła Halusia i zajęła się laniem gorącego wosku do miski z zimną wodą.

Kiedy ciemną, zaśnieżoną nocą sanie wiozły Halę i Wandę do domu „*W uniwersyteckim domu, przy Zamkowej ulicy, na parterze, jedno okno świeciło mocno pomimo późnej godziny. Z ulicy ukazywał się pokój skromnie umeblowany: zielony przysadzisty piec w tej chwili pełen ognia, żeby spać było ciepło, wąskie łóżko, stół pod oknem, książki w szafce i sztychy na ścianach.*” Dalej, nieopodal „Świętego Piotra na Antokolu” Wanda szepnęła: „*Wielki hetman litewski zbudował Piotrowi cudny Kościół, wtulony w pagórki i sosny, co u stóp swych Wiliji ma błękit radosny, a w przeźrocza witraży purpurę zórz łowi*”. Podekscytowane niezwykle spędzonym wieczorem siostry zaczęły dzielić się swymi wrażeniami.

- Co ci powiedziała wróżba z wosku? – spytała Wanda.

- Jakiś dziwny był to obraz i przypominał mi chyba najbardziej kontur naszej Ojczyzny – odparła Hala.

- To jasne. Wyjdiesz za mąż za polskiego ekonomistę i polityka, zatem mapa jak najbardziej prawdę Ci powiedziała.

- Tego wiedzieć nie możesz. Nie znam nikogo takiego.

- Tak sądzi Makiedonia, Cyganka która dzisiaj wróżyła.

- Pytałaś ją o to?

- Tak. Kiedy byłaś zajęta andrzejkowym obrzędem, wiedziałam że muszę ja spytać o to dla Ciebie. I spytałam. Zatem będziesz nazywać się Zawadzka. Mówiła to z wielką pewnością.

- Dobrze sobie. Doprawdy paradne! Skąd taka kobieta może mieć pewność w tej kwestii. To tylko gusła – zirytowała się Hala. – Zatem uwierzyłaś w to bajanie, więc co tobie wywróżyła?

- Też męża. Moje przysługłe nazwisko to Dobaczewska. Będę dużo podróżować: Warszawa, Kraków, Lwów, Poznań, Żnin. Obie będziemy pisać

i publikować. Ty nadal poezje. Ja zajmę się prozą. Może to i słuszne. Epika tak dobrze *égrène des souvenirs et des drames. Racontera aussi l'histoire de ma vie.* Ukażę Wilno, gdzie „*Stare zaułki, stare kamienice...wilgotną pleśnią porośnięte mury... w dziwacznych skrętach biegnące ulice...błękitne niebo nad miastem, u góry...Na poprzek ulic rzucone arkady...starych baszt duma, wytrwałość i siła...w podwórzu lekkość i wdzięk kolumnady, co się przed okiem ciekawych ukryła... (...*). Opiszę także obyczaje naszego ziemiaństwa. „*My – dzikie wilki kresowe, zaszyte w leśne ostępy. O nasze kły i pazury wróg się potarga na strzepy*” – z patosem rzuciła Wanda i dalej kontynuowała. – Chlubne są karty dziejów ojczystych, więc boli, kiedy odstępuje się od pięknych tradycji przodków. Ale to się zmieni. Czeka ją: Kurier Wileński, Poranny i Słowo, Środy Literackie. Będę pisała także dla dzieci. Baśnie i radiowe słuchowiska. I na potrzeby teatru lalek. Dla ruchomych obrazów, których dziś jeszcze nie ma... I tłumaczenia innych prac...

- Więc samo dobre Cię czeka – zakpiła jej siostra.

- Chyba nie. Wróżbiarka zaczęła coś mówić o cenie jaką trzeba zapłacić za szczęście. Za miłość do Ojczyzny, do Wilna, najbliższych. To będzie najgorsze w moim życiu doświadczenie, mówiła. I chyba rzeczywiście musi być straszne, bo nagle zaczęła okropnie krzyczeć i płakać. Bełkotała coś, co brzmiało jak Ravensbruck... To, co zrozumiałam oznacza cierpienie i sponiewierane człowieczeństwo...

- To źle wróży, prawda? Sponiewieranie, okrutne męki... To straszne, co Ci zapisane.

- Tak. To jakby piekło lub nawet gorzej. Lecz kazała to wszystko znieść, bo jest coś, co przyniesie mi ocalenie i „*Tyle jeszcze będzie słonecznych zachodów, wróżących, jak dziś, krwawą czerwienią – burzliwe jutro. Tyle jeszcze potrzeba będzie sił! Dzień wczorajszy niech się z Przyszłością połączy*”.

- Ale może jakoś ominąć ten etap zdołasz? Trzeba pomyśleć jak czas ten wrogi wyprzedzić i ...uciec – zasugerowała Halinka.

- „*Nie powinniśmy ani bać się czasu, ani usiłować go wyprzedzić. Powinniśmy wiedzieć, że ani jedno stadium rozwoju ominąć się nie da a owoc dojrzeje we właściwej porze. Chwast wszelki rozrasta się gwałtownie i szybko więdnąć. Dąb rośnie powoli i trwa przez tysiąclecia.*” – odparła Wanda i zmęczona zamknęła oczy.

- Wando, Kochana, to wszystko na pewno ku chwale Ojczyzny!

Wanda oderwała wzrok od mrozem lśniącego Wilnai odpowiedziała –
Tak i „*Na chwałę słońca*”.

*Wszystkie cytaty pochodzą z opublikowanych utworów Wandy
Niedziałkowskiej-Dobaczewskiej (przyp. autorskie).*

Niech ukolysz cię poezja...

Jeszcze raz wygładziłam poduszkę, zanim w końcu położyłam się na skrzypiącym łóżku, które delikatnie zapadało się pod moim ciężarem. Cicho westchnęłam, po czym odwróciłam się w stronę mojego brata – dzielącego ze mną w tamtej chwili owo posłanie. Tadek podniósł wzrok w moją stronę tylko po to, by po chwili znów go spuścić.

- Tadziu? – wymamrotałam cicho. – Tadziu! Dobrze wiem, że nie śpisz.

Nigdy nie lubiłam, kiedy mój brat ignorował to, co do niego mówiłam.

- Hm? – szepnął wyrwany z zamyślenia Tadeusz, wciąż na mnie nie patrząc.

- Myślisz, że mama mogłaby... - zaczęłam. – Czy mama przyjdzie i dziś, aby przeczytać nam coś na dobranoc?

- Myślę, że przyjdzie i chętnie coś wam przeczyta, pod warunkiem, że ładnie ją o to poprosicie – z przedpokoju dobiegł doskonale znany nam głos.

Był to wesoły i pełen miłości oraz troski głos naszej mamy, która po chwili stanęła w drzwiach sypialni. Mama, wciąż z uśmiechem na ustach, oparła się o framugę drzwi.

- Prosimy! – westchnęliśmy niemalże równocześnie.

Mama cicho się roześmiała, ale już po chwili, stanąwszy przed regałem z książkami, wybierała lekturę na dzisiejsze wieczorne czytanie. Mimo że każda książka, którą czytała moja mama, stawała się w niewytłumaczalny dla mnie sposób nadzwyczaj wyjątkowa, to w głębi duszy chciałam, żeby była to baśń – taka jak te ze zbioru „Złota studzienka”. Pomimo wielokrotnego omawiania baśni nigdy nie nudziły się ani mnie, ani Tadziewi. Po chwili mama wyjęła z półki niegrubą lekturę. Zdmuchnąwszy z niej kurz, uśmiechnęła się jakby sama do siebie. Usiadła na skraju naszego łóżka.

- „Na chwałę Słońca” – przeczytała mama głośno i wyraźnie tytuł

wybranej przez siebie książki. Już w tamtym momencie mogłam stwierdzić, iż nie była to baśń.

Oboje z Tadekiem ułożyliśmy się wygodnie do snu, by zaraz móc uleć czarom czytanej przez mamę książki.

- „*Kocham Cię, Słońce, za królewską purpurę róż, Za tęcze drżące w perłowych kropelkach rosy, Za niebo Twoje, za płomienny majestat zórz, Za złote, ciężkie, od ziaren chylące się kłosy*”... - zaczęła mama głosem dostojnym i wyraźnym.

Zamknęłam oczy, znalazłam się w miejscu, w którym przedzierające się przez zieloną trawę krople rosy delikatnie chłodziły moje bose stopy. W oddali dostrzegłam też pole z owymi kłosami kłaniającymi się w stronę wstającego słońca. Wkrótce odnalazłam też pole kwitnących róż, z którego po chwili wyłonił się mój brat z ogromnym bukietem tych cudownych kwiatów. Tadek biegł w moją stronę. Był szczęśliwy. Ja też byłam. Mama czytała dalej:

- „*Kocham Cię, Słońce, za potężny ogromny szum, Gdy stare drzewa śpiewają tobie modlitwy, Za chór skowronczy, Twych kapłanów maleńkich tłum, Za błysk do Ciebie, lecącej śnieżnej rybitwy*” – tu mama przerwała, by za chwilę znów zagłębić się w tekst lektury – „*Kocham Cię, Słońce, za prawieczny poszumny las, Promieniem Twoim do życia władnie zbudzony*...”

Nagle w mojej wyobraźni pojawił się inny obraz. Róż i kłosów nie mogłam już dostrzec. Słońca także, ale wiedziałam, że cały czas było ono ze mną. Teraz tylko chowało się za pniami drzew. Przede mną widać się leśna ścieżka pokryta sosnowymi igłami, które teraz, zamiast rosy, oplatały moje stopy. Dookoła śpiewały ptaki, które zdawały się witać mnie w ich leśnym domu. Usłyszałam jeszcze coś – wesoły śmiech i nawoływanie, po chwili poczułam, jak ktoś łapie mnie za rękę i biegnie tam, dokąd prowadziła niemalże niekończąca się ścieżka. To Tadek. Biegł i nie przestawał się śmiać. Po chwili puścił moją dłoń i krzyknął: „Goń mnie! Goń mnie!”. A więc goniłam go i także nie przestawałam się uśmiechać. Moje policzki były już niemal całe czerwone i bolały mnie od śmiechu, ale cóż to był za ból! Ból tak wspaniały i cudowny, że trwać mógłby wiecznie. Nagle złapałam Tadeka za koszulę tak, że ta rozdarła się nieco u dołu. Oboje upadliśmy na mech, który otaczał nas ze wszystkich stron. W moich włosach znajdowały się wtedy patyki, liście i sosnowe igły. Całemu temu nieporządkowi towarzyszyło jedno wspaniałe uczucie – poczucie wolności, której w tamtym momencie

nikt nie mógł mi zabrać.

Mama jednak kontynuowała swe czary:

- „... *Że siwym orłom za podniebny zuchwały lot, Pozwalasz patrzeć w najświętsze Twe źrenice, Że blaskiem sięgasz do podziemnych jaskiń i grot, Uśmiechem gasisz idące z chmur błyskawice.*”

I tym razem wszystko zniknęło z mojego pola widzenia. Nie byłam już w lesie, ale wciąż z Tadkiem. Poczułam nieprzyjemny chłód na swych barkach. Gdzie podziało się słońce? Nagle, ni stąd, ni zowąd, usłyszałam huk pioruna. Mocniej ścisnęłam rękę mojego brata. On też czuł niepokój. Gdy już chciałam się obejrzeć w poszukiwaniu drogi do ucieczki, poczułam na ramieniu czyjąś dłoń. Spojrzałam w górę. Nasza mama stała teraz z nami. Dokładnie teraz, kiedy to właśnie jej potrzebowaliśmy, ona z nami była i mimo burzy, która nad nami wisiała, wciąż promiennie się do nas uśmiechała. Nasze słońce się odnalazło, chociaż na horyzoncie dostrzec można było błyskawice. Znowu było pięknie. Mocno przytuliłam się do mojej mamy, w końcu to dzięki niej mogłam dziś przemieścić się w tak różne miejsca. Mama odchrząknęła, aby już po chwili przeczytać:

- „*Kocham Cię Słońce za promienną pogodę pól, Za srebrne cuda jabłoni w pierwszym rozkwicie, Za łzy i radość. Za chleby i za pszczelny ul...*”

Dookoła znów rozbłysnęło słońce, a niebo odzyskało błękitny kolor. Obecnie znajdowałam się w sadzie. Zamiast leśnych ptaków koncert dawały teraz pszczoły, świerszcze oraz koniki polne. W powietrzu rozniósł się zapach kwiatów jabłoni i czegoś, czego mój nos nie był w stanie dokładnie wyczuć. „Haniu! Haniu!” – usłyszałam nagle nawoływanie. Usłyszawszy własne imię, prędko pobiegłam w stronę, z której dochodził ten głos. Po chwili moim oczom ukazali się Tadek i mama. To oni mnie szukali. Mój brat trzymał w ręku koszyk pełen jabłek, a mama słój miodu oraz świeżo upieczony chleb. To jego woń tak mnie zmyliła! Całą trójką usiedliśmy na trawie, by skosztować tego, co ze sobą mieli. Spojrzałam na mamę i uśmiechnęłam się do niej. Ta, spojrzawszy na mnie z czułością, odwzajemniła uśmiech.

Tak bardzo byłam jej wdzięczna za to, iż tego wieczoru, czytając tę właśnie książkę, przeniosła mnie w tak wiele wspaniałych miejsc. Każda z tych wypraw, mimo iż odbywała się w mojej wyobraźni, wydawała się być prawdziwa – taka, którą już kiedyś przeżyłam.

- „*Za dzień wschodzący, za uśmiech ziemi, za Życie...*” – zakończyła

mama.

Delikatnie otworzyłam oczy. Znow znajdowałam się we własnym łóżku. Spojrzałam na Tadka. Spał.

- Dlaczego nie śpisz Haniu, czyżby wiersz nie przypadł Ci do gustu? – szepnęła cicho mama, aby nie obudzić mojego brata.

- Był... wspaniały... dziękuję, mamó – odpowiedziałam.

Mama uśmiechnęła się tylko czule i, pogłaskawszy mnie po głowie, zgasła świecę. Wyszła z pokoju.

Zamknęłam oczy. W tamtym momencie nie byłam w stanie słowami określić, jak bardzo czułam się szczęśliwa. Cieszyło mnie to, że codziennie mogę budzić się, mając przy sobie mojego najlepszego przyjaciela – brata, mogę wspólnie z nim bawić się, spędzać czas i kochać go.

Poczucie szczęścia przyszło samo, kiedy pomyślałam o mojej mamie – o kobiecie, która była jak słońce, gdy na niebie szalała wichura. O osobie, która jak czarodziejka kołysała mnie swym głosem do snu.

Radość dawała mi myśl, że rankami mogłam zawsze wysłuchać koncertów ptaków i pszczół. Rozkosz obudziła się we mnie, gdy zorientowałam się, że tak często mogę czuć zapach lasu, kwiatów i łąki, której tak blisko mieszkałam.

Oh tak... ten wiersz dał mi wiele do myślenia. W szczególności ukazał mi to, co dla mnie najważniejsze – moją rodzinę. Pokazał mi także moc i czary, jakimi władają utwory literackie, przenosząc nas do innej rzeczywistości. „Na chwałę słońca” to wiersz mojej mamy. Moja mama to Wanda Dobaczewska.

SPIS TREŚCI

Prace laureatów

Kat. A (dorośli) POEZJA:

I miejsce – CYJAN (Urszula Sikora).....	4
II miejsce - ANTONY DALTON (Remigiusz Czyżewski)	7
III miejsce – SKALNIK (Agnieszka Mędrzak – Sikora)	10
wyróżnienie – CÓRKA TAKIEGO OJCA (Ewa Frączek).....	13
wyróżnienie – ARDBIRD (Artur Piotr Kmiecik)	16

Kat. B (młodzież) POEZJA:

I miejsce – FERMI (Maria Zasadowska)	18
II miejsce – EDEN (Weronika Zarębska)	20
III miejsce – QUEL_que (Oliwia Michalak).....	25
wyróżnienie – ANTHEIA (Antonina Siecińska)	28
wyróżnienie – ŻETKA (Kacper Życzyński)	32

Kat. A (dorośli) PROZA:

I miejsce – AMOR (Katarzyna Georgiev)	35
II miejsce – BLUSZCZ (Anna Piliszewska)	37
III miejsce – PIÓROPUSZ (Alina Tuchołka).....	40
wyróżnienie – BELVEDERE (Barbara Raszewska)	43
wyróżnienie – ATOLA (Ewa Hansel).....	47

Kat. B (młodzież) PROZA:

I miejsce – ATELIS (Patrycja Rączka).....	51
II miejsce – POETA (Maksymilian Kordek)	55
III miejsce – SIULA (Joanna Łebkowska).....	60

wyróżnienie – KONWALIA (Diana Strzała).....	64
wyróżnienie – MATIKA (Matylda Markiewicz).....	68

Osoby, których prace poza konkursem wyróżnione zostały przez Panią Helenę Skonieczkę ze względu na nawiązanie do twórczości Wandy Niedziałkowskiej-Dobaczewskiej.

W dziedzinie poezji:

Jędrzej Kozak – godło: Anturium	71
Artur Paprocki – godło: ArturKwiecień.....	73
Beata Sylwia Jopek – godło: R.WAR.....	74
Kacper Adamczyk – godło: Zima	77
Martyna Bącik – godło: Chaber.....	78

W dziedzinie prozy:

Agnieszka Lis – godło: Pomarańcze.....	79
Michał Słowiński – godło: Krzyżyk123	84
Wiesława Zaborska – godło: Tulipan.....	87
Weronika Skrobek – godło: Hania.....	92